



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## CARMEN SYLVA.

Ukoronowana poetka, tak rozkochana w poezyi, że pielgrzymuje do jej źródeł — jedzie do obcego kraju, aby w górzystym, od cywilizacji nowożytnej odgradzonym zakątku świata, czerpać ją wprost z serc i ust ludu — jest postacią, która może uderzyć, może zająć wyobraźnię. Królowa Elżbieta rumuńska, nie nosząc nawet korony, miałaby z mocy swego talentu prawo do tego zajęcia, jakie budzą osobistości wyżej obdarowane, zwłaszcza że tu i kobieta przedstawia piękną, prawdziwie z łaski bożej szlachetną istotę. Jej ostatnia podróż, odbyta jesienią do Walii dla zbierania starych podań, sag galickiego ludu, przechowywanych tu w pierwotnej swej czystości przez patryotyczną zachowawczość górali, nie zmieszanych dotąd z plemieniem anglosaxońskim, uwydatnia jej szczerą miłość tej poezyi, która tryska z krynicy poetyczności człowieka pod wpływem widoków piękna, przedstawionych mu w obrazach natury, a którą i ona wzięła sobie podobnie na dobry skarb życia, dający mu blask i koloryt, niezawisły od położen życiowych.

— Wszelkie rozbudzenie działalności i zasobność nasza powstaje z tego, co dostaje nam się bezwiednie... napisała ona kędys w pamiętnikach swoich, i życie jej stwierdziło prawdę tego spostrzeżenia nad wpływem wrażeń, które człowiek otrzymuje od otoczenia swojego za pośrednictwem okalających go obrazów życia i świata, a które przerażają on sobie na majątek życiowy — na złą, lub dobrą dolę swoją. Ona dostała tu dar bogaty, bo urodziła się (1843 r.) wśród czarownic pięknej natury, nad brzegiem Renu, w starym zamku

dziedzicznym, gdzie chowała się dobrze pod staranną pieczę dobrych, rozumnych rodziców. Ojciec jest tu głównie osobistością wybitną, która oddziaływała na nią. Książę Herman von Wied, z rodu niegdyś udzielnych, a potem medytryzowanych książąt Rzeszy, był nie tylko człowiekiem wyższego wykształcenia, ale myślicielem i pisarzem, autorem dzieła: „Das unbewusste Geistes leben.“ Poeta to był również, mistyk, który pisał sam o sobie, że „zarówno szereg wypadków, które przebywał jego własny ród, jak i sensacyjne zjawiska czasu przekonały go dowodnie o rzeczywistości działania wyższych, tak zwanych tajemniczych, sił w zyciu i głębi człowieka.“ Podobnie dziad jego i stryjowie byli ludźmi podniosłej myśli i zajęć — pisarzami, podróżnikami, a matka, księżna Ludwika, poetką. Żyła bardzo długo, bo lat 93, i tęskno jej było na ziemi, z której odchodzili ją powoli przyjaciele i współtowarzysze; zostawiła też po sobie zbiór pieśni, zatytułowany „Pieśni samotnicy.“ Natchnienie poetyczne było tu zatem dziedzictwem rodowem, a ciche, spokojne, poważnie pędzone życie rodziców pozwoliło dziecku rozwijać w sobie zdolności otrzymane. Lato bywało przepędzane wśród okolic pięknych jako natura i bogatych w starożytne zamki i kościoły; na zimę wyjeżdżano do Bonn i tu ledwo że z dzieciństwa wyszedłszy, zetknęła się z wyborowem towarzystwem ludzi, oddanych nauce i sztuce.

Dla choroby matki, która od jej urodzenia była cierpiącą, przebywano czas jakiś w Paryżu a i tu spotykało się dziewczętko młode w salonie rodziców z ludźmi wyłącznie wyższych umysłów, i to stanowiło owe „siły dostające się nam bezwiednie“ o których pisze potem, oglądając się na swoje życie, na młodość swoją. Lecz czytelnik jej pamiętników dodać tu powinien do szeregu tych wpływów i piękność otaczającej ją przyrody, którą poetyczna jej organizacja odczuwała od dzieciństwa w stopniu wysokim. Powrót matki do zdrowia

stał się tą wielką korzyścią dla kielkującej w duszy dziewczęcia poezyi, że nie oddalano się już z domu, że zamieszkiwano w zimie stary zamek, wznoszący się u ujścia rzeczki Wied do Renu, a porę ciepłą w pałacyku letnim wśród lesistej okolicy, *Monrepos*, i można powiedzieć, że duch poezyi zstąpił tu na dziewczę niezmiernie żywe, namiętne we wszystkim — objawił jej się w piękności ojczyznej przyrody, której wielkie zamknięcie okazywała od lat dziecińczych. Serce było też dobre, nie umiało się nigdy przejąć samolubnym uczuciem pychy, jak świadczy o tem zdarzenie z jej lat bardzo wczesnych. Ona miała guwernantkę Francuzkę, nauczyciel brata dawał jej też lekcye, ale żywą jej wyobraźnię zajmowała niezmiernie myśl o szkole — o szkole do której chodzą dzieci wiejskie, i raz, gdy przebywano w *Monrepos*, wbiegła żywo do pokoju matki z zapytaniem: czy może iść też do szkoły z dziećmi wiejskimi, które się tam uczą? Księżna, uważając to za luznie rzucone pytanie bez następstw, odpowiedziała, że dobrze — że pójdzie też kiedy do szkoły i ona; lecz żywe dziewczę nie chciało tracić czasu i pobiegła natychmiast w stronę, gdzie widziała kierujące się przed chwilą dziewczęta. Jest to jeden z bardzo wdzięcznych obrazków *Pamiętników*, jak biegła co tchu, jak przybyła do szkoły w Rodenbach na czas, bo przed odśpiewaniem jeszcze pieśni porannej, od której zaczynały się lekcye, jak śmiało dostała się do ławki w pierwszym rzędzie i śpiewała wraz z innymi na cały głos, pełna dumy, że jest już uczennicą. Nauczyciel dostrzegł ją i zadziwił się zrazu, ale miłość własna kazała mu pomyśleć, że snadź księżna uważa go za szczególnie zdolnego pedagoga i gotów ją był po skończonej lekcji śpiewu wywołać do czytania, gdy wysłany za małym zbiegiem kamerdyner ukazał się we drzwiach. Carmen Sylva czyni tu uwagę, jak ważnym jest w wychowaniu wpływ najmniejszych drobnostek. Ona, nieznaną

jeszcze uczucia dumy rodowej, niewiedząca nic o podziałach klas, od tej chwili zaczęła je poj-  
mować i wstydić się tego, co zrobiła.

Nauka szła dobrze, ale wielka żywość sprowa-  
dzała często nieposłuszeństwo, zapomnienie roz-  
kazów i obowiązków. Uczyła się dobrze i chętnie,  
a uczono ją wielu języków. Obok francuzkiego,  
którym mówiła jak rodowitym od dzieciństwa,  
uczyła się po-angielsku, po-włosku, po-lacinie.  
Z nauczycielem brata czytała Owidyusza, Hora-  
cego, Cicerona; nauczycielka francuzka dawała  
jej do czytania przeważnie kroniki historyczne:  
czytała Froissard'a, Joinville'a, Filipa de Comines,  
obok wielkich poetów z czasów Ludwików: Ra-  
cine'a, Corneille'a. Matka przecież czuwała nad li-  
teraturą ojczystą, a rys to piękny, naśladowania  
godny, i z nią, za jej wskazówkami zapoznawała  
się z literaturą niemiecką; z nią czytywała naj-  
pierw Schillera, lecz nietylko same poezye: czy-  
tała „Trzydziestoletnią Wojnę“ i inne history-  
czne dzieła.

Do skończenia lat ośmnastu nie miała w rękę  
żadnej powieści, żadnego romansu. Ten poważny  
kierunek kształcenia młodego umysłu nie uczynił  
jej pedantką, ani zbyt surową, ani nad wiek powa-  
żną — nie zabił w niej poetyczności przez zgaszoną  
żywość wyobraźni. Pierwszem jej czytaniem z za-  
kresu belletrystyki powieściowej były romanse  
Walter Scott'a i niektóre niemieckie, a z tych  
przed innemi głośna powieść współczesna Freita-  
ga. Matka, zajmująca się tak osobiście wychowa-  
niem córki, była przecież *jaśnie oświeconą*, a szła  
z przodków *najjaśniejszych*, poczuwała się jednak  
do obowiązku pracowitego zajęcia się wychowa-  
niem dzieci. Jak każda podobnie wychowana  
istota ludzka, temu zawdzięcza Carmen Sylva,  
że wdzięczność, tkliwa miłość córki — słodkie  
o domu i rodzicach wspomnienie poszło za nią  
w życie kobiety dorosłej, — pisarki i monarchini,  
zachowując ciepło i poezyą uczucia. Czytelnik  
wspomnień królowej Elżbiety odczuwa tu, jak-  
gdyby jakąś emanacją ciepła, wydobywającą się  
z tych opisów jej szczęśliwej, pięknej, czystej  
młodości, która musiała w naturalnej konsekwen-  
cji dać kobiecie piękne, czyste życie.

Wszystko tu składało się na wpływy szczęśli-  
we. Krajobraz szeroki: płat otwartej przestrze-  
ni, ujęty w srebrny łuk potężnego strumienia  
Renu, przemawiał mnóstwem wspomnień histo-  
rycznych a w tyle, zaraz poza zamkiem, bukowe  
lasy tworzyły przez starodrzew wyniosły, jak-  
gdyby jakąś krainę zaczerpioną, wśród której  
otwierające się polanki przedstawiały niby  
punkta zborne dla niewidzialnych mieszkańców.  
Wspaniałych widoków natury nie brakowało ro-  
snącej tu poetce. Zameczek *Monrepos* wzno-  
sił się też poetycznie w tem otoczeniu. Jedynie  
górne piętra miały sale i pokoje mieszkalne,  
cały zaś dół tworzył jedną wielką halę, z szere-  
giem wysokich, wązkich, na wszystkie strony  
wychodzących okien, z których oko mogło ogar-  
niać wszystkie te piękności, co poetka nazywa  
nie bezpodstawnie jednym z wielkich darów  
zesłanych jej od losu. Oczy jej pasły się  
od dzieciństwa widokami pełnemi malowniczo-  
ści i nastawały też chwile, że nie była zdolną  
utrzymać się w domu. Mając do straży dwa  
wielkie brytany z tej rasy górskiej psów  
szwajcarskich, zwanych „Bernhardinerhunde“,  
które odszukują zabłąkanych w górach po-  
drożników i przywodzą ich pod dach gościnny  
zakonników reguły S-go Bernarda, puszczała się  
śmiało na wycieczki samotne, wśród których  
spotkała się z duchem natury, stającym się dla  
niej duchem poezyi. Matka chciała tu ograni-  
czyć wolność córki, ale ojciec wstawił się za nią,  
mówiąc: „Nie należy zmuszać ludzi do szczęścia  
takiego, jak my pojmujemy je jedynie... Niech  
idą swoją drogą, a znajdują ją na niej zawsze, jeżeli  
tylko nie będzie krzywą.“

Była, na szczęście, prostą tą, którą obrało  
dziewczę czystego i niepoziomego ducha. Matka  
nie obstawała też uparcie przy swoim i, dając  
się przekonać mężowi, pisała potem do przyja-  
ciółki: „Musimy jej zostawić swobodę i nie prze-  
szkadzać pracy wewnętrznej, która się w niej od-  
bywa“.

Co to za wielka wygrana losu mieć takich ro-  
zumnych przewodników młodości swojej! Poetka,  
która wyrosła z tego dziewczęcia, rozkochanego  
tak wcześniej w poezyi natury, napisała później,  
w poemacie „Sapho“, zapewne ze zwrotem na  
własną młodość swoją:

Zylałam tak tajemniczo własnem życiem ducha,  
A każdy ton, złowiony wśród głosów natury;  
Każdy dźwięk, jaki ucho w chórze tym podslucha,  
Był przedzą, snutą na te czarodziejskie sznury,  
Których chciałem się chwycić i którym chwyciła...  
Com ja czuła?... Jak czuła! pragnęła, kochała...

Lecz wręcz już od siebie mówi poetka, gdy,  
malując rojenia, które napawały ją widoki na-  
tury wśród wycieczek czynionych w okolice,  
pisze:

Ach! puszczy woń!... ach! puszczy śpiew!  
I wiatru szum i szmery drzew,  
Jakże ja kocham was?...  
Jak serce drży, jak oko lśni,  
Jak się przebudza to, co śpi,  
Gdy wolna idę w las...

Z tych pierwszych czasów jej młodcianej  
twórczości, gdy myśl odbijała więcej widziane  
obrazy otoczenia, niż zstępowała w głąb serca,  
aby tworzyć „z przedziona własnego uczucia“,  
jest wiersz już silny w obrazowaniu widoków,  
uderzających jej poetycznie nastrojoną wyobra-  
źnię: *Burza w lesie*:

Dzika melodyę  
Las głucho śpiewa,  
Wiatr pędzi chmury  
I zgina drzewa.  
Słychać pniów jęki,  
Łomot gałęzi.  
Wicher się wyrwał  
Bogu z uwięzi.  
Wyciągi czyni  
Z chmurą na niebie.  
— Czy mnie przegonisz,  
Albo ja ciebie?...  
I chłoszcze wody,  
I smaga lasy,  
Z duchem przyrody  
Chce iść w zapasy,  
Ja się nie lękam  
Przecież tych mocy:  
Pan jest na niebie  
We dnie i w nocy...

Wiersze te płynęły jej z duszy, jak woda ze  
stoku; nie spisywała ich nawet, i dopiero, gdy  
skończyła lat szesnaście, zaczęła je mieścić  
w dzienniku, który ojciec radził jej pisać, lecz do  
którego przecież nie zaglądał nigdy, bojąc się  
spłoszyć tego skrzydlatego ducha, który ulaty-  
wał ponad nią — nęcił ją i przyzywał do siebie.  
Jest to rysem charakterystycznym, że nie popra-  
wiała wcale pierwszych wierszy swoich, bo zda-  
wało jej się, że byłoby to zatarciem prawdy tego,  
co odczuwała w chwili tworzenia. Zaczęła też  
wątpić, aby mogła stać się kiedykolwiek poetką;  
z uwielbienia poezyi, z odczucia jej piękności  
w wielkich poetach, których czytywała, przyszła  
na nią ta trwoga i zasmuciła ją. Zdawało jej  
się, że może stać się to w niej nieszczyściem,  
udręczeniem życia, ściganiem nieuchwytnych pię-  
kności, i wtedy-to przerzuciła się namiętnie do mu-  
zyki, zaniedbywanej dotąd dla książki, ale grała  
i śpiewała z takim podnieceniem, że matka  
zlekła się tej egzaltacji i zabroniła jej na czas  
epoki jej życia, przez dwa lata nie tknęła forte-  
pianu, nie zbudziła żadnego dźwięku, który był-  
by głosem śpiewającym w jej duszy. Zwróciła

się zato do innej sztuki: zabrała się do pendzla,  
zaczęła malować uparcie, przebojem, ale tu bra-  
kowało jej rzeczywiście talentu, a teraz już nie  
miała guwernantek, nau czycieli, i zaczęło ją opa-  
nowywać uczucie czczości, bo duch jej nie mógł  
już próżnować. Naturalną siłą, której złamać  
w sobie nie mogła, wróciła też do pióra, do poezyi,  
lecz pierwszy wiersz, który napisała, był mo-  
dlitwą, bo zaczęły się teraz dla niej smutne  
próby życia.

Ojciec, kochany bardzo gorąco, może najsil-  
niej, jak młode to serce kochać mogło, zaczął za-  
padać na zdrowiu, a przyszła zaraz potem choroba  
i śmierć młodszego jej brata, niedużego jeszcze  
chłopczyka, ale silnie kochanego przez nią,  
bo silnie przywiązanego do niej, i teraz sztuka  
zaczęła jej się wydawać rzeczą błahą — rozryw-  
ką szczęśliwych. Do pięknych rysów charakteru  
księżęcej córki zaliczyć trzeba, że nie mogła  
znieść życia beczynnego. W pobliżu mieszkała  
niebogata szlachcianka, podupała na majątku  
wdowa, i miała przy sobie dwie siostrzenice, ro-  
snące bez odpowiedniego wykształcenia; księżna  
matka opiekowała się też ułomnym chłopcem,  
sierotą i ona urządziła w zamku dla tych trojga  
dzieci szkołę, czyniąc się ich nauczycielką, a ta  
praca, złączona z obowiązkiem stałym, przywró-  
ciła jej równowagę duchową, jak to przyznaje  
w dzienniku swoim. Stała się spokojniejszą,  
więc weselszą; poetyczność wrodzona i żywość  
wyobraźni nie zagasły w niej, a teraz już jej  
było wolno czytać dla przyjemności, dla rozrywki  
umysłu. Lecz czytaniem powieści dozwalała jej  
matka bawić się tylko wieczorem.

Wielka pani, umiejąca tak pr... się obo-  
wiązkami swoim, otrzymała w... szczęście  
rodzinne, które jest podstawą istnienia ludzkie-  
go, bo wytwarza nam ono to ciepłe serce,  
zbędnie potrzebne aby wyrobić się w nas  
zdolność uczuciowości wogóle. Rozum nie sta-  
je za wszystko i potrzeba jest tu człowieko-  
pomocy serca. Matka na żadnym szc-  
towarzyskiej drabiny nie przestaje być  
ką — nie zostawia poza sobą obowiązków  
kazanych przez naturę i prawa rządzące  
wiekiem. Czuć też we wspomnieni...  
wielką miłość, wielką wdzięczność dla ty-  
brych, starannych rodziców swoich za wych-  
otrzymane, za troskliwe pielęgnowanie jej  
dości. Tych-to wspomnień siła utrzymała  
w niej niejedno, co inaczej ucieka ludziom z p-  
wśród wiru świata, wśród starcia jego interesów,  
i każdy może sobie powiedzieć, że trzeba mu  
czcić ojca i matkę swoją, aby mu łatwiej było  
żyć dobrze na świecie.

(Dokończenie nastąpi.)

## HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg.)

Niewyraźnie czerniały obszary traw, gwarne  
od mnóstwa błotnych śpiewaków; biła od tych  
łak świeżość i surowa woń wilgoci, opary się nad  
niemi nisko słały.

— Ty tutaj nigdy nie była; ja już jedenasty  
rok koszę, i wszystkie wychody znam, i wszyst-  
kie „zajmiska“ na pamięć.

— To zawsze w jednym miejscu kosisz?

— Każdy, jak dobrze trafił, z roku na rok wra-  
ca. Nam dobrze się udało!

— To na połowę kosisz?

— Nie, na trzeciak. Dwa stogi żydowi, jeden za robotę. Trzy ruble gotówką płacą, a potem jego część zimą do dworu odwieźć trzeba, zanim moja zabracę pozwolą. Ale ja nigdy nie odwożę, bo wszystko kupuję, com zrobił. Towaru szmat!

— Ciężko! — szepnęła z ubolewaniem.

— Nie poradzisz, kiedy mus — odparł ze spokojną rezygnacją.

Zywot go nauczył ciężary dźwigać: nie buntował się, ani narzekał. Uchodzony był i wciągnięty do bezustannego trudu, jak ta jego klacz gniada do chomonta i hołobli.

Łucysia go pierwsza pożałowała może w życiu, bo aż się zdziwił na jej ton żalony.

— Za twoje staranie i cichość panowanie tobie należy, taj odpoczynek!

Ruszył obojętnie ramionami.

— Ja nie pan, żeby panował, ani żyd, żeby odpoczywał! — mruknął, raczej dotknięty jej dobrą intencją, niż wdzięczny.

I poczał biczyskiem mijane łąki wskazywać.

— To Syluków zajmisko już skoszone. Siemienista (liczna) chata! A ot Chrynow załaza woda, i do Spasa nie skończą.

— A koło nas swoich nie będzie?

— Czyruków Tychon co roku kosi.

Łucysia umilkła, rozejrzała się po niebie.

— Ot i dzień! — zauważyła.

— A cóż! W Pietrówkę noc, a w Filipówkę dzień jednaki.

Senność ją znowu morzyła. Usunął się trochę.

— Przyłóż się, i zaśnij! Jeszcze daleko. Namordujesz się do syta! Nie trzeba mi kożucha. Umieć się go zabrać dla ciebie.

Związała się w kłębek u jego nóg i zasnęła.

On na to teraz musiał uważać, bo zjechali z grobli między łąki i krążyli wśród trzęsawisk, zygzakami, mostach z faszyny, niczem nie przyszłej, po pomostach z nieobrobionych kłód, po torfach powleczonych skorupą darniny, po krzakach wśród łoż wysokich.

Rozbudził się Sydor i Kiryk, a i ludzi spotykali coraz więcej. Robota szła w całej pełni; roili się łąki pracownikami. Tam kosili, tam wywlekali siano na wyższe miejsce, tu i tam z szalasu ognisko dymiło, uwijały się kobiety; znowu ściągano wołami kopice na stogi, i ludzie się tam krzątali gorączkowo. Gdzie byli Hrywdańcy, tam wóz stawał i rozmawiano, nie przerywając roboty.

— Jak tam w domu? Zdrowi? A dzieci całe? Co słychać?

A Hubenie, zaspokoiwszy ich ciekawość, rozpytywali:

— A jak siano pokazuje? Dużo wody? Czy prędko skończą?

Wóz ruszał, za nim rzucano dobre życzenie, i znowu dzwoniły kosy w ciszy.

Zajeżdżali w coraz większą głąszę.

Nareszcie około południa zatrzymali się przy dębnie koszlawym, do którego przyklepiony tkwił szalaz z łozy i kółków.

Kalenik zaraz klacz odprzągł, spętał i w trawie zostawił, a tymczasem Łucysia tobołki z jędzeniem z wozu dobyła, a Sydor z Kirykiem szalaz obejrżeli.

Pokazał Kalenik dziewczynie opodał rów, pełen rdzawej wody, z kąd czerpać miała do garnka, urąbał łozy na paliwo, wziął zaraz kosę i oczyścił z chwastów i szuwarów plac wokół.

— A pilnuj się gadziny! — ostrzegł ją.

Potem oczyścili wewnątrz szalasu, na dach narzucali gałęzi i trawy, wnieśli do środka swe zapasy, odzież i narzędzia, i było po całym porządku.

Poszli zaraz z kosami do roboty, a dziewczyna warzyła postny barszcz z kaszą, i cicho było znowu.

Z traw wznosiły się roje komarów. Były duże i rude, małe i czarne, były tak drobne jak szpilki łebek, a każdy zgłodniały rzucał się na pastwę, na krew świeżą. Okrywały twarz i ręce, cięły przez bieliznę, zasypywały oczy.

Sydor i Kiryk klepli, Kalenik w milczeniu rzadko się nawet opędział; wody mieli po kolana, ilekroć się ześliznęli z kępy.

Po godzinie zatrzymali się i wrócili do szalasu na obiad.

Upał był wielki, więc koszule ich mokre były od potu, a twarze obrzękle od jadu owadów i okrwawione.

Zjedli szybko strawę bez omasty, którą woda z rowu zaprawiła smakiem i wonią rdzawą i stęchłą, zagryźli chlebem, zakurzyli starsi fajki, Kiryk papierosa i, chwilę spoczawszy, wrócili do pracy.

Kosili jeden za drugim i Kalenik przodował, szerokim rzutem potężnych ramion zrzucając trawę na wał.

Posuwali się powoli i stopy ich zostawiały na łące jakby dwie ścieżyny równoległe.

Zpod szerokich kresów kapelusza pot się toczył na ręce, na kosę, na ziemię, muskuły się prężyły jak postronki, a ilekroć który wy dostał nogi z wody, widać było uczepione do łydek czarne, chciwe pijawki i pasemka krwi zmieszanej z zielonawym szlamem.

Do komarów przyłączyła się mikroskopijna „meszka“ i nalatywała do nozdrzy i ust, upał zapiekał gardła, a oni szli łąwą, w ścieżynę po sobie rzucając obojętnie i krew i pot i wszystkie siły.

Kosili tak aż do zmierzchu, wcale się nie odrywając i przystając tylko dla wyostrzenia kosy, aż gdy im słońce uciekło, odprostowali się z głuchem stęknieniem.

Od szalasu ogień ku nim zalatywał, i dym; ale oni się nie kwapili i, idąc powoli, rozmawiali apatycznie.

— Za dwa tygodnie nie skończymy! Ja już całkiem ustałem! — skarżył się Kiryk nowicyusz.

— Poczekaj — jutro ci mocy przybędzie! — pocieszał go filozoficznie ojciec.

A Kalenik kosie swej się przyglądał i niechętnie mrucał:

— Szelma żyd oszukał na żelazie! Trzeba klepać, bo krzywe.

— Wiadomo, głupiemi tak zawsze! Niechby mnie spróbował oszukać! Ja zeszłego roku go dzinę przy kowalskim wozie stał, targował, nie nie kupił, a trzy najlepsze do domu przyniósł. Ot jak! — zaśmiał się Sydor.

— Udało się — mruknął Kalenik.

Łucysia już miała wieczerzę gotową, ale oni ledwie jej tknęli. Pokładli się w szalazie, nakryli siermięgami i posnęli jak drewna, na Kalenika resztę zdając.

On klaczy dopatrzył i na noc do dębu uwiązał, on drzew urąbał, a potem przy ogniu poczał kosę klepać, rozmawiając z Łucysią.

— Postoły masz?

— Nie.

— To ci splotę, bo pojutrze z grabiami pójdziesz. Czemu się spać nie kładziesz?

— Boję się gadziny.

— Ot durna! Gad do ognia nie przyjdzie.

— Straszno czegoś.

— Czego? Byle ogień. Wszelkie złe dymu się boi, i wilk, i wiedźma, i „ci“. Śpij!

— A ty?

— Ja jeszcze kosę naklepię, taj legnę!

Ułożyła się niedaleko niego, i nim zasnęła, widziała jego pochyloną twarz i jasne kudły, i ręce pracowite, wystukujące młotkiem w ostrze, i okaleczone boscie nogi — i tak ją sen wziął.

Gdy on wreszcie o spoczynku pomyślał, ujrzał, że jej twarz odsłoniętą cięły komary. Więc go żal ogarnął, i okrył ją połą swej siermięgi, a sam obok legł, i tak, jedną switwą przykryci, zasnęli bez złej myśli, bez żadnych pragnień, oprócz spoczynku. Na trzeci dzień i ona z nimi poszła. Wywlekali z Kirykiem pokosy na suchsze miejsce, suszyli, składali w kopice. Z pośpiechu nie warzyli nawet strawy, posilali się chlebem i cebulą, odpoczywali w południe, pracowali w nocy, by skwaru uniknąć.

Zczernieli i skóra im pękała na karku, a nogi od wilgoci się raniły; ale ich tępej energii nie mogło zwojować.

Coraz dalej byli od szalasu, i coraz gorączkowiej pracowali.

Zdarzały się też nieszczęścia. Raz klacz zginęła, i ledwie o milę ją odnaleziono, po całodziennej trwodze i przeszukiwaniu wertepów łozy. Drugi raz gadzina ugryzła Kiryka, i żeby nie sąsiedztwo Czyruka, przepadłby chłopiec.

Ale czarodziej kosil opodał, i po użyciu ziół przezeń danych opuchlina zeszaigorączka opadła.

Był jednak tak słaby i przelekły, że odtąd ani grabić, ani kosić nie chciał. Aż wreszcie pewnego dnia zginał Kalenik. Sydor z Łucysią rozpoczęli pierwszy stóg składać, a parobek sam kosil owego dnia. O południu zaczęto go wołać bezskutecznie.

— Zasnął! — zdecydował stary.

Ale dziewczynę nieokreślony niepokój trapił. Jedząc, wyglądała i nasłuchiwała.

— Didu! — ozwała się — nie może to być, żeby on przy robocie zasnął. Uchowaj Boże, nieszczęścia!

— Jakiego! Detyna on czy baba pijaczka! Żeby i wilki opadły, toby się nie dał. Szelma zhultał, i basta!

Dziewczyna umilkła, ale po chwili wróciła uparcie do swego przypuszczenia.

— Boh me, jemu coś złego się stało! Pójdźcie, didu, zobaczcie!

— A gdzież on został?

— Ot tam za łożą słyszałam niedawno jak kosę ostrzył.

— To ja tam nie pójdę, bo za grzązko na moje stare nogi.

— To ja pójdę!

— Idź, kiedy ci życie niemiłe.

Łucysia zakasała spódnicę i pobiegła.

O wiorstę to było. Skakała z kępy na kępę, kalecząc nogi na ostrych szuwarach. A niepokój aż jej piersi rozpięła.

— Kalenik, ho, Kalenik! — krzyczała ile sił.

Ale jej nikt nie odpowiadał.

Zaczęła wreszcie płakać z bólu, zmęczenia i desperacji, ale rwała się naprzód, nieustraszona.

Odkryły jej wreszcie łozy widok na płaskie, bawełnianką pokryte błoto. Parę pokosów leżało świeżych, dalej — nic.

— Kalenik, ho, Kalenik! — łkając, wołała.

Słońce jej biło w oczy, a pot i lzy maciły źrenice, więc przesłoniła czoło dłońmi i spojrzała ze zgrozą przed siebie. A wtem między trawą coś się zaruszało, coś plusnęło.

Poskoczyła tam, i wrzasnęła okropnie.

Zpod ziemi, z wody i błota wyzierała mułem oblepiona twarz Kalenika.

Po szyję tkwił i tylko dwie jego ręce konwulsyjnie trzymały się kępy, w którą palce grzęzły, i która lada chwila się oderwie.

Wokoło niego była jakby studnia rozgrzęzłego mułu, jakaś głąb' bezdenna, ślizga, — przepaść torfowa.

Bywają na błotach takie okna, piekielne pułapki, zdradliwie trawą pokryte. Parobek tej nie zapamiętał, nie spodziewał, i wpadł nagle, zapewne głową na dół, straciwszy równowagę i przytomność.

Muł go oslepił, napełnił mu usta i uszy. Nie widział nic, ani wołać mógł; instynktownie na wierzch głowę wy dostał, uczepił się kępy, próbował się wydzwignąć, oderwał ją swym ciężarem; znowu dał nurka, znowu za drugą się chwycił, i tak zawieszony w gęstej cieczy, uczepiony zdźbła marnego, Bóg wie, ile się czasu męczył. Widać było po jego strasznej twarzy, po siności rąk, po grozie oczu, że ani samowiedzy, ani sił już nie miał.

Na widok Łucysi poczał połykać muł, ksztuścić się, coś bełkotać.

Ona, zmartwiała i niezaradna, łamała dłonie, krzyząc w niebogłosy ratunku.

Aż wreszcie z gardła Kalenika wydarł się jeden wyraz zrozumiały:

— Pas, pas!

Rzuciła się tu i tam, czegoś bezprzytomnie szukając, wreszcie spostrzegła na pokosie pas, jego krasny, który zapewne zdjął k'woli swobody ruchów.

Porwała go, i rzuciła mu, a on, ostatnim wysiłkiem, chwycił go zębami.

A wtem mu się ręce rozprzęgły, i znowu-by dał nurka, gdyby nie ten pas.

Łucysia jedną ręką trzymała go, drugą uchwyciła się łozy, i tak całą mocą ciągnęła do siebie topielca — za szczęki. Mocowała się z topielcą — sama, bo on małowco pomagał, zupełnie osłabły.

I tak go wywlekła na „grad“, i sama padła, wyczerpana.

Kalenik leżał z odrzuconymi ramionami, i pas wciąż w zębach trzymał, aż go porwała czkawka i wymioty masy mułu, który połknął.

Wody nigdzie nie było blisko, więc mu Łucysia nawet pomódz nie mogła, i tylko, usiadłszy nad nim, zanosiła się od płaczu.

Wreszcie trochę przyszedł do siebie, rozejrzył się i spytał:

— A gdzie kosa?

Kosy nie było. Pezarała ją ta głąb' torfu, i szczęściem, że nóg i rąk o nią nie pokaleczył; ale tej pociechy on nie czuł.

Dźwignął się i począł biadać.

— Moja dola! Przepadła kosa! Co ja nie-szczęśny pocznę teraz? Całkiem zginę.

I szukał jej, ryzykując raz drugi wpaść w to okno piekielne.

O podziękowaniu Łucysi wcale nie pomyślał. Ona też zaczęła lamentować.

— Do czego twoja koszula podobna! I ługiem jej nie odpiore. Choć ją „starcowi“ (ubogiemu) dać. Chodź do szałasu i zniej ją. Namoczę, póki mokra!

Odciągnęła go wreszcie od poszukiwań kosy; starannie zwinęła pas — i poszli.

Sydor na widok synowca usta otworzył.

— Ciebie gdzie czort wodził?

— Licha jego mać! Kosę utopiłem!

— Nie może być! Ty, durniu, gdzieś rozum miał i ręce? Jak świat światem nie słyszano, żeby ludzie kosy topili. Będę ja ci dwie na jeden sianokos sprawiał, ty niedołego! Tfu! Jak udał się bałwan, to cały!

Kalenik, zbiedzony, pokorny, zawstydzony, powlókł się do szałas. Klątwy stryja goniliły za nim.

Cała Hrywda wiedzieć będzie o tej kosie, a jego taki srom ogarnął, że począł przeklinać Łucysię, iż mu się utopić nie dała.

Chorąży, co sztandar wypuści z rąk — nie czuje się bardziej upokorzonym, niż ten chłop, gdy wracał z próżnymi dłońmi.

Złajał go stryj, wydrwił Kiryk: on rozjuszył się wreszcie i napadł na Łucysię przy wieczerzy, o byleco, żeby swe rozdrażnienie spędzić.

Odtąd wtedy tylko był spokój, gdy byli każde z osobna; przy spotkaniu wybuchały zaczepki i swary.

Wreszcie pewnego dnia dziewczyna uciekła, nie mogąc znieść takiego życia.

Nie znając drogi, biegła przed siebie, zeicha płacząc, ludzi spotykanych mijając bez słowa, bez odpowiedzi.

W sam najgorszy upał uciekła, więc długo iść i prędko nie mogła.

Rachowała, że już daleko uszła, gdy w tem tentent konia się rozległ, a zaraz potem znajomy głos Kalenika:

— Gdzie-to ty się wybrała. Stój!

Zmartwiała ze strachu. Stała i wyciągnęła przed siebie dłonie, jakby się już od razów zasłaniała.

— Nie bij, nie bij! — jęczała.

On oklep na klaczy jechał, i przed nią się zatrzymał.

— Co z tobą? W pół roboty rzucasz — zaczął ciężko dysząc, ale bez przekleństw i bicia. — Nijakiej ci krzywdy nie zrobiliśmy, a ty uciekasz jak od Tatarów. Chcesz nam wstydu narobić, że od nas uciekają, jak od cholerników. Powiedzą ludzie, że ci krzywdę uczynił — a jaż choć rękę do ciebie wyciągnął, jaż choć paskudne słowo ci powiedział, jaż popatrzał, jak nie należy? To ty za to taka dla mnie! Idź, jak chcesz, ale z tego tobie złe wyjdzie: ludzka obmowa!

Łucysia opuściła ręce i płakała.

— To ty mnie nie laj! — szepnęła.

— Tfu! Jaki czort! Ty królewna, czy pa-nienka ze dworu!

— Ty mówił, że nie będziesz lajał.

— Nu, mówił. To zapomniał — i col!

— Trzeba było zaraz przypomnieć.

— Kiedy mnie taki żal porwał, i wstyd.

Zawrócił, a ona szła za nim.

— Tobie żal i wstyd, a mnie co? Robotnik to z chłopca, albo ze starego? Tydzień nie upły-

nał, a ja sam zostałem z kosą, a ty druga z grabiami. Toż ja bez ciebie tutaj przepadnę!

— Nie biadać, zrobimy i we dwoje wszystko — pocieszała, dumna z jego ufności.

— Nie uciekniesz?

— Nie. Choć do Pokrowy zostanę.

— Ja dumał, że ty nie całkiem szelma!

Wróciła tedy, i odtąd znowu była zgoda.

Hubenie, wystraszeni jej buntem, przestali wymyślać.

— Wiadomo: babę latem trzeba głaskać! — zdecydował Sydor.

W Sobotę wieczorem złożono naradę.

Sydor z Kirykiem na całą noc ruszyli do Hrywdy po prowianty, i by się w domu rozejrzeć. Kalenik i Łucysia zostali, by sąsiedni kosarze nie ukradli siana.

Całą Niedzielę parobek w haszczach łożę na łyka obdzierał; dziewczyna, uprawszys bieliznę, poszła w krzaki, gdzie kaczek młodych roily się mnóstwa.

Uchwyciła ich kilka. Kalenik huknął do niej niekiedy, aż wreszcie poczęli do siebie śpiewać jedną z tych pieśni od łez smutniejszych, od żywota — dłuższych.

Nagle doleciał parobka jej okrzyk.

— Oj Boże mój — co to?

— Co tam? — spytał, myśląc, że się z wilkiem spotkała.

— Chodź-no, zobacz! Co to?

Poskoczył. Dziewczyna stała na malej grzązkiej łączce, otoczonej olchą czarną — wskazała mu palcem, jakby snur zwieszony z jednej gałęzi.

Podszedł, spojrzął, i cofnął się żegnając i plując.

U gałęzi za ogon wisiała — zabita gadzina. Czarno-żółte jej ciało sztywne było i oślizłe. — Paszczę miała otwartą i drewnianymi widelkami rozszerzoną — język z niej wyzierał, a po nim sączyła się kroplami jakaś ciecz kleista, spadając na ziemię. A na ziemi leżał kawał chleba, a na nim trojak miedziany, zaśniedziały i ciecżą tą oblepiony.

— Co to? — spytała Łucysia bardzo blada.

Parobek przerażone oczy wkoło obrócił.

— Cyt! — szepnął — to znachorskie sztuki. To na kogoś zakłęt!

Tedy ją lęk okropny zdjął: uciekła, nie oglądając się, ani krzycząc.

Kalenik pozostał długo i ledwie wieczorem wrócił. Rozmawiali szeptem po wieczerzy.

— Widziała ty, jak ten chleb się wił, by żywy; słyszała ty, jak on stękał, jak człowiek śmiertelny?

— Mohe?

— I Boh me! Ja widział i słyszał. Tak myślę, dopilnuję kto po to przyjdzie, choćby i trzy dni siedzieć — wytrzymam. Aż oto w sam zachód słońca przyszedł Oksenty Czyrak, gadzinę odwiązał, ów chleb i trojak zabrał w chustkę — taj poszedł.

— Boże mój? Naco to jemu! Toć grzech, tak chleb bezcześcić!

— Wiadomo, że grzech. To też taki znachor nigdy swoją śmiercią nie umiera.

— Mohe? A jakże?

— „Ci“, jego biorą żywcem!

— O, Jezul! — wrzasnęła, przysuwając się do niego.

— Boh me! Mnie opowiadał taki co to widział: mój „did“ nieboszczyk.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KAROL ESTREICHER.

(Ciąg dalszy patrz Nr. 2).

Zaraz po zainstalowaniu się w Krakowie przystąpił Estreicher do uporządkowania i uzu-

pełnienia swego katalogu, jak go bez pretensyi naukowej zwykł był nazywać. Od r. 1869 nie-przerwanie już i systematycznie, a przynajmniej wytrwale, toczy się praca nad bibliografią XIX stulecia. Była ona ogromna i własną swą siłą wykonawczą nigdyby jej Estreicher dokonać nie mógł; ale profesorowi księgoznawstwa, dyrektorowi pięknej biblioteki, przychodziła z pomocą młodzież uniwersytecka; dopomagał już w wyższym zakresie nieoceniony Żegota Pauli; ludzie zewsząd śpieszyli z dopełnieniami i poprawkami; z Warszawy przysyłali tytuły i sprostowania: dobrą obdarzony pamięcią Cypryan Walewski i szperacz książkowy za bieżące stulecie, zmarły w r. 1890, Edward Minkowiecki. W r. 1870 pojawił się pierwszy zeszyt *Bibliografii*, rozpoczynający część pierwszą ogólnego wykazu od początku druku w Polsce, wydany nakładem Tow. naukowego krakowskiego a „staraniem“ umyślnie wytworzonej komisji bibliograficznej. Pisząc na tytule z „dumą“ 120.000 druków (50.000 dla XIX w.) nie mógł jeszcze wówczas wiedzieć Estreicher, że w niespełna lat dwadzieścia później do liczby tej doda jeszcze całe trzydzieści tysięcy. Dla użytku powszechnego podłączał tytuły francuzki i niemiecki i francuzką przedmową dzieło opatrzył. Przed wykazem dzieł znajduje się spis katalogów księgarskich od początku w. XVII. Liczne opracowania szczegółowe, które właśnie w tym tomie znalazły dla siebie miejsce, wyniosły odrazu dzieło ponad poziom zwykłego rejestru książkowego. Od tak dawna wyczekiwane wydawnictwo, i dla literatów, i dla księgarzy, i dla księżnic wielkich, zarówno użyteczne, zyskiwało w miarę rozwoju swego coraz liczniejszych prenumeratorów; ale trwało to tylko do tomu III-go, wydanego w r. 1876. Tom I miał ich 137 na egzemplarzy 200, dwóm następnym przybyły jeszcze 83 egzemplarze — całej obrady 283 osobniki (!). Akademia Umiejętności, która powagą swoją i nakładem poparała dzieło, nieprędko spodziewać się mogła zwrotu kosztów; bito mało (podobno tylko 400 odbić), a ponieważ w takich niezbędnych wydawnictwach czas sam robi to, do czego ludzie nie mają wielkiej ochoty, więc już przed dziesięciu lat pierwszy tom Estreichera płacono bardzo drogo i dzisiaj nabyć go można tylko przypadkiem.

Co dwa lata ukazywał się w Krakowie czcionkami uniwersytetu tom jeden bibliografii dużego formatu, a w r. 1873, z okoliczności wystawy powszechnej w Wiedniu, ułożył Estreicher i wydał wykaz 3.000 druków z dwóch lat 1871 i 1872 p. t. *Die Bibliographie Galiziens und anderer Länder etc.*, znajdujący się poza systematem dzieła, ale zajmujący ludzi wykształconych przedmową swoją, a bardziej jeszcze rejestrem przedmiotowym, jakiego braknie *Bibliografii XIX stulecia*. Zanim w r. 1880 wyszedł tom V, zakończający dzieło, zebrało się kilkanaście tysięcy tytułów, które do niego wejść już nie zdążyły, i trzeba było robić nowy słownik alfabetyczny od A aż do Z, zajmujący obecnie tomy VI i VII (1881 i 1882). Tworzywo dla bibliografii rosło w rękach; złotą przędzę pracy duchowej snuło życie, nie czekające na dokończenie bibliografii. Estreicher swemu zbiorowi tytułów nie położył żadnego kresu chronologicznego, przybywały więc coraz nowe dzieła w tak znacznej ilości, że z 45.000 pierwotnej summy zrobiło się 70.000, a nawet więcej. Siedmiotomowa bibliografia estreicherowska bieżącego wieku nie ma ściśle granicy czasu; zachodzi w rok 1832, ale autor nie daje nam pewności, że wszystko z tego roku ogarnął. Zresztą, taka data nie może być dogodną; słusznie dopominano się jakiejś liczby zaokrąglonej, a najodporniejszą, jak to już w *Wiadomościach bibliograficznych* Teodora Paprockiego w roczniku pierwszym (1882) wskazałem, była data 1880 roku. Ponieważ Estreicher, przez dziwne jakieś nieopatrzenie się, do XIX

(1) Dla Poznańskiego 13, dla Galicyi 35, dla samego Krakowa 74, dla Szlązka 1, dla Królestwa i Cesarstwa 154, dla zagranicy 6 osobników.

wieku zaliczył i rok 1800, o który słusznie, jako o swój własny, najprawowitszy, upomina się stulecie XVIII, więc przy proponowanym zakręgleniu liczby mielibyśmy w siedmiu tomach zamknięty cały ruch książkowy, obchodzący naszą literaturę, biblioteki i księgarstwo, za lat 81.

Tom ósmy bibliografii XIX stulecia, a X-y ogólnego zbioru, wydany w r. 1885, zawiera wykaz chronologiczny wszystkiego, lub prawie wszystkiego, co wyszło od r. 1800 do 1870, i poza ten rok nie sięga. Pod każdym rokiem znajdują się tytuły podane alfabetycznie z nazwisk autorów lub z głównych wyrazów, — zarówno druki indywidualnie występujące, jak i wydawnictwa zbiorowe i czasopiśmienne. Tytuły są skracane, dla nieobciążania wydawnictwa, które bez tych skrótów musiałoby zająć przynajmniej drugie pięć rdzennych tomów dzieła. Wobec bibliografii abecadłowej taki registr skrócony najzupełniej wystarcza. Dzwonił na to kazanie chronologizmu Dr. Piotr Chmielowski, aż je wydzwoił wyjedaniem funduszu na nakład. Pracy dokonali w Warszawie dwaj ludzie już nieżyjący: Zygmunt Komarnicki i wspomniany już Edward Minkowiecki, któremu Estreicher w T. II za dawniejsze jeszcze przysługi bibliograficzne wobec wszystkich z *Bibliografii* korzystających podziękowanie złożył. Myślano wówczas o ułożeniu wykazu przedmiotowego i zamierzano pracę tę powierzyć p. Cezaremu Biernackiemu w Warszawie; ale czy to pieniędzy zbrakło, czy silnego postanowienia — ostatecznie skończyło się na niczym.

Na ósmym tomie *Bibliografii XIX stulecia* nie ustała jeszcze praca Estreichera wiekowi temu poświęcona. Wydane w r. 1890 trzy pierwsze zeszyty T. XI ogólnego zbioru (str. 1 — 372, 8° max.) obejmują dalszy ciąg wykazu chronologicznego od r. 1871 do r. 1888, a według listu do autora niniejszej wzmianki, z d. 25 Grudnia 1889 r., ma pierwszy twórca ogólnej *Bibliografii* polskiej zamiar w tomie XII i XIII swego dzieła podać abecadłowy, normalny spis wszystkich druków od r. 1882 do 1890. Dopiero na tej granicy czasu zatrzyma się gorączkowo za życiem śpiesząca myśl Estreichera. *Bibliografia XIX stulecia* obejmuje 91 lat, a dla porządku powinien do wspólnej z wykazem abecadłowym mety dojść i chronologiczny: bez tego dzieło będzie ułomnem.

Jaką ma wartość *Bibliografia XIX stulecia*? Pytanie to rozpada się na dwa: jak ją pomyślano, i jak w ten a nie inny sposób pomyślaną wykonano? Pomyśl układu wewnętrznego jest oryginalnym, a co ważniejsze, oryginalnym zarazem i dobrym, i ma Estreicher prawo przypominać w swoich przedmowach, że takiego systematu, jaki on zastosował, żadna obca bibliografia nie posiada. Polega zaś ten systemat na zlanii nazw podmiotowych z przedmiotowymi w jeden potok słownikowy. Odsyłacze przy nazwach przedmiotów, pozwalają ogarniać pojedyncze działy wytwórstwa umysłowego wzrokiem, nie tylko księgarskim, ale już literackim. Jest to rzeczywiście pomysł oryginalny i pożyteczny, a wprowadzenie go nadaje dziełu Estreichera wartość wynoszącą je ponad „katalog księgarski i biblioteczny“, za jaki sam autor *Bibliografią* swoją podawał. Na te odsyłacze przy nazwiskach i przy przedmiotach, zarówno, jak i na monograficzne opracowania pewnych działy wytwórstwa, i na wykazy pod tytułami czasopism literackich, wyluszczające ich zawartość, — pada głównie ciężar pracy, zasługi i użyteczności. Ludziom pracującym w literaturze nie dał jeszcze Estreicher tego, do czego by mieli prawo, aby czasu, tak skąpo odmierzanego umysłowi na czynną już, dodatnią, płodną działalność, nie potrzebowali marnować na poszukiwania bibliograficzne; ale to, co już jest w *Bibliografii*, rzetelną, rzadkokiedy zawodną, wyświadcza przysługę. Za zasadę do wypisywania pierwszych wyrazów, składających słownik przy drukach bezimiennych przyjął Estreicher pierwszeństwo rzeczownika głównego w tytule, a przy kryptonymach literę drugą uznawał za ważniejszą, jako kryjącą nazwisko. Pierwsze wyrazy

całkowitych nazwisk odróżniają się odrzeczowników tytułowych większym drukiem, ale jedne z drugimi płyną wspólnym łożyskiem abecadłowego porządku. Przy autorach bardziej znanych znajdują się daty urodzenia i skonu, a dla użytku księgarzy po wszystkich znamionach bibliograficznych książki podana jest jej cena.

Niepodobna mi tutaj wliczać wszystkiego, co właściwie stanowi jakby niespodziankę dla człowieka poszukującego tylko rozpoznawczych znamion książki; wymienię jedynie główne takie jakby premia dla korzystających z dzieła Estreichera. Na czele idzie spis 1.000 katalogów księgarskich od roku 1603 do 1870 r.; po nim wykaz 1.400 czasopism zbiorów od czasów najdawniejszych, także do r. 1870; następnie, pod wyrazem „dramat“, dziewięć pojedynczych spisów źródeł książkowych i dziennikarskich, autorów i sztuk oryginalnych i obcych, dramatów historycznych, tłumaczy, wreszcie miejscowości, które występują w utworach dramatycznych. Wogóle spisał Estreicher 535 dramaturgów polskich, 886 obcych, dramatów oryginalnych 1.600, tłumaczonych 2.200. Ukazanie się w druku nie było kwalifikacją niezbędną dla wejścia do wykazu: są w nim sztuki wcale niedrukowane, lecz tylko przedstawione, są nawet istniejące jedynie w rękopiśmie. Co już po r. 1870 powstało, to weszło w szeregi słownika tylko bezpośrednio z druku. Monograficzny ten wykaz zajmuje 74 stronic (338 — 411 T. I) dużej dwulamowej ósemki. T. I zawiera jeszcze spis kobiet literatek od najdawniejszych do ostatnich czasów. Litera J przyniosła w T. II rzecz wielkiej użyteczności: abecadłowy wskaźnik do *Jochea*, ułatwiający korzystanie z tego dzieła benedyktyńskiej pracy. Dalej już monografii nie spotykamy, ale zato otrzymujemy szczegółowe spisy tytułów rzeczy drukowanych w czasopiśmie literackich, bądź pod właściwymi ich nazwami, bądź pod autorami (*Athenaeum* pod Kraszewskim). Niema tu jeszcze wszystkiego, ale jest już wiele. Pod niektórymi autorami pierwszorzędnej wielkości, jak Mickiewicz, Kraszewski, Szujski, mamy obficie podane nie tylko to, co oni sami pisali, ale i to, co o nich pisano, a przy dwóch ostatnich wykazy chronologiczne dzieł, ułożone według lat ich napisania, jeżeli drukowanymi nie były. Odsyłacze przedmiotowe przy wyrazach *Bolesław, Bonaparte, Elementarz, Edukacja, Geografia Polska, Pologne, Polen* i wielu innych dowodzą staranności, która wogóle dostraja się do przewodniej myśli autora: aby odsyłaczami wzmocnić, wzbogacić, uszlachetnić prosty bibliograficzny katalog. Dość jeszcze potrzeba i objaśnienia doraźnie, sporadycznie występujące, które zwykłe dotyczą tylko druku, ale niejednokrotnie także i literackich znamion lub faktów związanych z daną książką.

Taką jest bibliografia w pomysł, w planie swoim. Wykonanie często się planowi przenie-wierza, a przy ogromie przedsięwzięcia na siły jednego człowieka nie powinno to nikogo uderzać. O brakach, o niedokładności, o pomyłkach uprzedzał sam autor tych, którzy z bibliograficznych jego usług korzystać chcieli; nie ukryły się też ujemne strony dzieła i przed krytyką, jakkolwiek nie była ona systematyczną, a choćby tylko wytrwała. Najściślej bibliograficzne, rzeczoznawcze, są spostrzeżenia d-ra Władysława Wisłockiego zaraz po pierwszym zeszycie wydane — i przewane (2). Szkoda, że w danych już warunkach stosunek urzędowy dwóch najpierwszych dzieł bibliografów polskich nie pozwolił im na taką wymianę myśli i trudu, przy którejby ustalić się już mógł wspólny kierujący rozum: ileżby na tem *Bibliografia XIX stulecia* zyskała! Księgoznawstwo potrzebuje dla siebie wielu i zgodnie działających sił. O takiej zgodnej wielości marzył Estreicher podczas pobytu swego w Warszawie i katalog swój, przedmiot ówczesnych marzeń, chciał ułożyć metodą inwentarzową. Najodpowiedniejszym, jedynie odpowiednim, wyda-

wało mu się wówczas takie urządzenie ostatecznej redakcji dzieła, aby nagromadzone i przebrane już kartki porozdzielać pomiędzy główne księgozbiory i na rzeczywistej książce sprawdzić rzetelność każdego tytułu, każdego bibliograficznego znamienia. Tym marzeniem pierwszego, gorącego, okresu nie stało się zadość w późniejszym, dojrzałszym — a dla ideałów już chłodniejszym. Okoliczności niewyjaśnione dotychczas nie dały Estreicherowi nawet skorzystać z olbrzymich zasobów Stanisława Przyłęckiego. Prócz niedokładności w pierwszym już zeszycie znalazło się przeszło półtora sta samych opuszczeń, wytkniętych przez dzisiejszego redaktora *Przewodnika bibliograficznego*. Zawiniło tu głównie owo niezorganizowanie pracy zbiorowej, bez której bibliografia obyć się nie może; zawinił też i zbyt ni pośpiech w rozpoczęciu druku.

Nie miejsce tutaj na szczegółowe wywody. To, co Dr Wisłocki powiedział o zeszycie pierwszym, stosuje się, choć na niższym stopniu, i do następnych. Nie wytknął on jeszcze włączania wydawnictw poszytowych, jak np. *Wzory sztuki średniowiecznej*, do wykazu obejmującego wydawnictwa zbiorowe i czasopisma. Opuszczanie licznych druków hebrajskich łamie zasadę, że wszystko, co z pras drukarskich wyszło, do bibliografii należy; jak znówu, wprost przeciwnie, zamieszczanie nut muzycznych (np. *Donizetti*) dowodzi niewłaściwego rozciągania tej zasady na objawy z najogólniejszą bibliografią druków związku niemające. Są w dziele pomyłki i w stronicach i latach; zdarzają się i w tytułach, nieraz zupełnie zepsutych (*Lites ac res gestae* Długosza), w nazwiskach (Kaleski zamiast „Zaleski“) i nazwach (Köller zam. „Köln“). Nie każda zawsze pozycja przynosi ze sobą topograficzną legitymację, wystarczającą do zajęcia danego miejsca, a przy tytułach beznazwiskowych dzieje się to nawet dość często. Korrekta też niejednego dopuściła się grzechu; daleko jej do czystości podobnych wydawnictw na Zachodzie. Przy T. I autor sam wskazał 82 omyłki druku lub przepisywania; przy następnych zaniedbał już sprostać, a przez to skrzywdził swe dzieło. W ogóle: robota szła zbyt pośpiesznie, jakby nad nią wisiała jakaś nieodwrócona konieczność stawienia się na prekluzyjny termin. Ten niepokój zbyt pośpiechu, przybawający po owem zerwaniu z dobrem natchnieniem pierwszych porywów, sprawił, że dzieło nie wyszło z formy pomysłu takim, jakim je sam autor widzieć pragnął (3).

Co to jednak wszystko znaczy wobec dodatków stron dzieła, wobec tego, co w niem jest rzetelnie dobre i użyteczne! A jeżeli zostaje w umyśle trwalsze wrażenie ze wszystkich tych braków i usterek, to chyba tylko jedno: aby jaknajprędzej wyczerpała się pierwsza edycja *Bibliografii*, a miejsce jej zajęła druga, w którejby można już dzieło uzupełnić, oczyścić, uporządkować i podać w jednolitej postaci po stopieniu dwóch odrębnych słowników, głównego i dopełniającego, w jeden wspólny.

Przed wyjściem jeszcze VII tomu *Bibliografii XIX stulecia* ludzie zajmujący się badaniami literackimi żywili nadzieję, że Estreicher, dawszy ogólny inwentarz, wzbogacony tak cennymi odnośnikami i nawet wiadomościami należącymi już do historii literatury, doprowadzi go do końca 1882 r., oczyści z błędów i braków, i na podstawie własnego dzieła, względnie już doskonałego, zabierze się do umiejętnych opracowań, aby z bibliografii ogólnej, będącej zarazem i katalogiem dla księgarzy i wykazem dla literatów, wyluszczyć bibliografią specjalną, czysto już literacką, jakiej nie miałyby żadna literatura, z wyjątkiem może czeskiej, obdarowanej jeszcze przez Jungmana. O tych *umiejętnych opracowaniach na podstawie Bibliografii Estreichera* pisało się właśnie w owym roku 1882 (4). Przedewszystkiem potrzebny był — i jest i będzie, dopóki go

(3) Nagannem wydaje mi się oznaczenie ogólnej liczby tomów i porządkowej liczby danego tomu jednakowo znakami rzymskimi. Wprowadza to zamęt dla wzroku.

(4) *Wiadomości bibliograficzne*, str. 28 sq.

(2) *Uwagi nad pierwszym zeszycem Bibliografii Pana Karola Estreichera*; odbite tylko w stu egzemplarzach. Lwów, 1870, str. 47, 8-o.

nie będzie — wykaz przedmiotowy, choćby nie w tylu działach, ile ich ma *Zestawienie przedmiotów w 136 tomach „Biblioteki Warszawskiej“*, nie w tylu nawet, ile Estreicher w jednej z dwóch rozpraw swoich o Bibliografii za potrzebne uważa, ale w tych 22, które sam wprowadził do wykazu z lat 1871 i 2 w swej *Bibliographie Galiziens*. Takie uzupełnienie samego inwentarza jest koniecznym, nieodbitym, jest obowiązkiem literatury względem samej siebie.

Jeżeli Niemcy i Francuzi w bieżących swoich wydawnictwach podręcznych bez przedmiotowych spisów obyć się nie mogą, o ileż potrzebniejsza jest taka systematyka dla bibliografii podającej już to, co przepłynęło przez życie i ma być przedmiotem, nie ciekawości, ani potrzeby praktycznej, ale poważnego umysłowego badania! Szkoda wielka, że wtedy, kiedy przygotowywano spis chronologiczny, nie odczuto dostatecznie potrzeby spisu systematycznego i dobrym zamiarom pierwszej chwili zmarnieć pozwolono. Czego wówczas nie dano zrobić p. Cezaremu Biernackiemu, czego nie zrobił dotychczas sam Estreicher, to zrobić musi koniecznie kto inny: inaczej cała bibliografia XIX w. będzie kaleką, żebrzącą łaski surowego rozumu. Dopiero przy takim przedmiotowym wykazie wyluszczać się zaczęło z grubej skorupy drukarstwa — właściwy dorobek i dobytek nasz literacki, a spisanie go następnie w porządku chronologicznym dzieł i wydań pod każdym autorem wytworzy tę wymarzoną bibliografią już literacką, choćby tylko książkową, do wytworzenia której nikt nie miał silniejszego, rdzenniejszego w sobie powołania nad Estreichera. Uzupełnieniem jej byłaby przedmiotowa i chronologiczna bibliografia rzeczy drukowanych w czasopiśmie, a po dokonaniu jednej i drugiej możnaby się już śmiać, niż teraz, przed światem całym pochwalić swoim bibliograficznym bogactwem. Akademia, raz objawszy w spadku po Towarzystwie Naukowym wydawnictwo bibliograficznych prac Estreichera nad wiekiem XIX, znalazłaby dla owych umiejętnych opracowań, przez niego również dokonanych, tę samą wolę, powagę, i pieniądze tesame, które wyprowadziły na świat dotychczasowe jego prace nad bibliografią stuleci dawniejszych.

(Dokończenie nastąpi).

## Ze znalezionych kartek.

(Dalszy ciąg).

Dnia 23-go Listopada.

Wczoraj przyjechała ciotka, jak zapowiedziano, i przywiozła nam swego syna, co już należy do niespodzianek, nieobjętych programem.

Gucia nie widziałam dawno, ale słyszałam od ojca, że ciotka wiele ma z paniczem kłopotów. Poznałam go z trudnością: chłopiec, niegdyś wesoły, złośliwy, pozuje na „zblazowanego“ czy też jest nim w istocie. Nie lubiłam go dawniej za jego złe serce, teraz mnie śmieszy niewypowiedzianie.

Przypominam sobie przykre figle, które płałał mojej garbatej nauczycielce, pamiętam jak wyśmiewał jej kalectwo i złą polską wymowę.

Dochodziło do tego, że impetyczna Francuzka w chwili gniewu chciała mu wymierzyć policzek i nie wiem, na czym-by się skończyło, gdyby nie moja interwencja. Druga, obrzydliwsza jeszcze scena przychodzi mi na pamięć. Guccio miał wtedy 12 lat. Pies jego, równie jak pan złośliwy, rzucił się na wiejskiego chłopczykę, który, nie wiem jakim sposobem, dostał się do parku. Widziałam, jak zęby brytana<sup>7</sup> wpijały się w bosc

nogi dziecka, więc, kierowana pierwszym popędem, porwałam kij i biegłam na obronę biedaka. Guccio schwycił mnie za ręce. — Daj pokój, niech ma naukę, tu nie dla niego spacer! Bravo, Saturn!

— Puszczaj mnie! — krzyknęłam z taką gwałtownością, że Guccio odskoczył, ale już było za późno. Brytan przewrócił dziecko na ziemię i szarpał nietościwie. Szczęściem, nadbiegł ogrodnik i odpędził szkaradne zwierzę.

Nie mogłam odtąd patrzeć na mego kuzynka i przez parę dni w dziecinnej zawziętości nie odezwałam się ani jednym słówkiem do niego. Co najzabawniejsza, to, że Ciotka uważała wtedy za stosowne obrazić się w imieniu swego jedynaka i wyjechać od nas wcześniej, niż było z początku postanowione.

Nie dotknęło mnie to wcale, a na Ojcu wymogłam przyrzeczenie, że postara się wynagrodzić pokaleczonemu chłopczyźnie jego przestach i ból. Jakże tu wobec tych wspomnień nie roześmiać się, gdy Guccio na moje pytanie: co znaczy ta zmiana w jego zachowaniu się? — odpowiada patetycznym głosem:

— Kuzynko! człowiek, co wiele przeżył i przebolewał, nie może być podobnym do wizerunku swego z lat dziecinnych. Widzisz, pojmuję teraz zdanie Salomona „Wszystko marność marności“. Ty jedna mogłabyś wydobyć iskrę z popiołów mego serca.

Już dawno nie roześmiałam się tak serdecznie, jak gdybym usłyszała tę niespodziewaną odpowiedź. Guccio sentymentalny! A przytem takie długie i wyszukane okresy nie były dawniej we zwyczaju mego kuzynka.

Przypuszczam, że ten był przygotowany i obmyślony zawczasu.

Zapewniłam go szczerze, że nie myślę rozdmuchywać tych czcigodnych popiołów, że mu owszem z tem spoieleniem do twarzy.

Skrzywił się na to i przybrał minę jeszcze bardziej znudzoną, niż poprzednio.

Oile Guccio mnie bawi, o tyle Ciotka intryguje. Ona, co nigdy nie okazywała mi wiele przywiązania, była dziś dla mnie wyjątkowo czułą, przytem po odejściu panów, mówiła mi wiele o swym Guccio, o jego niezwykłych zdolnościach, dystynkcji (Ciotka, bojąc się, by jej ze względu na jej pochodzenie o brak tej zalety nie pomówiono, wszędzie stara się swą cześć dla tego kwiatu cywilizacji zmanifestować), wreszcie o sympaty, jaką Guccio żywił zawsze dla mnie. Wiadomość o przyjeździe Janusza przyjęła Ciotka z nieprzyjemnym zdziwieniem, którego ukryć nie umiała.

Ej, ci państwo przyjechali tu z jakimiś gotowemi planami, które, niestety, pokrzyżować im będę musiała!

Odwykłam od towarzystwa, zmęczeni mnie ci ludzie. Mam gorączkę i czuję, że spać nie będę mogła tej nocy.

Dnia 30-go Listopada.

Widziałam dziś małego boscę pastuszka o ciemnej oliwkowej cerze, jak przygrywał sobie na jakimś rodzaju fletu, pilnując kilku chudych kóz. Podskakiwał biedak w rytm śpiewanej melodyi, i miał tyle ognia i wesołości w czarnych źrenicach, że zazdrościć mu musiałam jego biedy, ciemnoty i swobody.

To mi przypomina, jak, będąc 16-to-letnią dziewczyną, widywałam między naszą służbą chłopca w moim wieku, który był przedmiotem drwin wszystkich swych towarzyszy. Wpółdzikie to było stworzenie, sierota zapewne.

Wybujał nad wiek, zawsze obdarty, z kędziarami długich, na czole spadających włosów i po nurem spojrzeniem, przypominał dawnego mieszkańca litewskich borów. Używano go do pilnowania stadniny.

Otóż wtedy ja, wykwitna, wypieszczona pannenka, obdartusowi temu zazdrościłam jego losu. Gdy stosownie do pory roku ubrana jechałam powozem na spacer, on z gołą głową, rozpiętą na piersiach koszulą, boso uganiał się za żrebiętami. Dosiadał oklep któregośkolwiek z nich i pędził

po błoni, a wiatr rozwiewał mu czuprynę, chłodził ogorzałe lica.

Ja wtedy już doświadczałam bólu w piersiach i miałam przeczucia śmierci. Chroniono mnie od chłodu i wilgoci, nie pozwalano mi wychodzić na powietrze po zachodzie słońca, hodowano mnie jak cieplarnianą rośliną. A tymczasem ten egzotyczny kwiatek wolałby być dzikim chwastem wybujać swobodnie, pić rosę i słońce, i żyć. Byłabym oddała chętnie cały rozwój mego ducha za siły i zdrowie tego chłopskiego dziecka. O ileż on był szczęśliwszy odemnie! Wiecznie na polu bezbrzeżnym; nie szkodziły mu wichry ni sloty jesienne, nie zabijała go śnieżycy, nie raziły promienie sierpniowego słońca! Ja dostawałam kłócia w boku po przebiegnięciu kilku kroków, po odetchnięciu chłodniejszym powietrzem. Czułam się bezsilną w upały a skostniałą w mróz.

I cóż przyjdzie mi z tego — myślałam — że więcej pojęć wytworzy się w moim umyśle, że będę jaśniej widziała, co nikczemne a co szlachetne, gdzie piękno, a gdzie brzydota, kiedy on, ze swoją ciemnotą, prostactwem i dzikością pierwotnego człowieka, stokroć szczęśliwszym i ludziom pożyteczniejszym będzie, niż ja?

Biedny chłopcze, co się tam z tobą dzieje?! Może wśród lasu na wilgotnym mchu spoczywasz, może rzucasz się w zimną falę naszego stawu; ale zawsze pewno równie zdrow, rosły, silny jak dęczak młody!

Ach, jakbym chciała położyć się na srebrzystym mchu i słuchać szumu starych sosen i jodeł!

O jodły moje! O mchy moje! Czy ja was kiedy zobaczę?!

Dnia 2-go Grudnia.

Jaki dziś straszny ciężar przygniata mi<sup>3</sup> piersi! Zdaje mi się, że grób mój przywalono już kamieniem, a ja zpod tego kamienia wydobyć się pragnę. Brak mi powietrza, duszę się, strach mnie ogarnia. Ach, ja chciałabym żyć!

Dnia 5-go Grudnia.

Znużona jestem bardzo, ale tak już przywykłam do tego bazgrania, że mi tęskno za moim dziennikiem.

Janusz przyjechał. Parę godzin siedział z nami; teraz obydwa z ojcem wyszli do ogrodu odetchnąć chłodnym powietrzem wieczora.

Wanda stoi na balkonie i patrzy w gwiazdy albo na ogród, a ja memu niememu przyjacielowi spowiadałam się z wrażeń dnia.

Czemu Janusz nie przyjechał do nas, gdy byłam jeszcze zdrowszą i silniejszą trochę? Byłabym się wtedy zakochała w nim na śmierć i życie. Nie widziałam piękniejszego młodzieńca. Typ-to grotgerowski, smętny, zadumany. Nie jest to twarz magnata. To człowiek z ludu.

Był zawsze ładnym chłopcem, ale nie miał tej melancholii, którą chwyciłby mnie za serce, gdyby przez moje serce przepływała jeszcze zdrowa czerwona krew, gdyby go nie nurtował już jad śmiertelnej choroby i śmiertelnej też rozpacz.

A teraz: czy ja mam dosyć sił do miłości? Taka zwiędła dusza, jak moja, nie może wydać wonnego kwiatu.

Ale mniejsza o mnie. Nie kocham Janusza: to lepiej chyba; będę mogła umrzeć spokojnie.

Tymczasem zaciekawia mnie ten poetyczny smutek w błękitnych oczach młodzieńca. Co tam w tej duszy na dzień? — Czy pospolita mierzoność, endymionową okryta szatą, czy istotnie jakaś nienięta głęboka tęsknica?

Spotkanie nasze było przykre dla ojca, nie dla mnie, bo ja się nawet spodziewałam czegoś w tym rodzaju. Janusz nie widział mnie oddawna i nie poznał w pierwszej chwili. Zobaczywszy nas z Wandą siedzące koło siebie, zdążyła nam się obydwóm uklonić. Dopiero, gdy podniósłszy się, podeszłam ku niemu, zdecydował się mnie wreszcie jak dawną znajomą powitać, ale nie umiał ukryć przykrego wrażenia na widok mojej chudej, wynędzniałej twarzy i wyschłej postaci.

Domyślał się, że ojciec musiał go do zmiany, jaką we mnie zastanie, przygotować; tembardziej pomieszanie jego daje mi do myślenia.

Kiedy wziął mnie za rękę i spojrzął mi w oczy, wzrok jego mówił wyraźnie: — Co się z tobą stało?

Na nieme to pytanie odpowiedziałam mu niemym i smutnym nśmiechem. Ojciec starał się zatrzeć jak najprędzej wrażenie tej sceny, przedstawił Janusza Wandzie i zaczął z wielką troskliwością wypytywać się go o zdrowie hrabiny.

Mnie to nie obeszło tak dalece. Mam moją fotografią zprzed dwóch lat, mogę sama ocenić ogromną zmianę, jaka się dokonała we mnie w przeciągu tego czasu.

Powoli uspokoiłiśmy się wszyscy. Opowiadał nam Janusz chorobę i ostatnie chwile swego ojca. Zpomędzy ludzi mi znanych najwięcej miałam czci dla tego szanownego starca. On jeden był do dawnych rodzinnych portretów podobny. A i śmierć jego miała w sobie coś z powagi i majestatu dawnych czasów.

To też lza, która się zakreśliła w oku syna na wspomnienie o ojcu, zyskał sobie Janusz wiele mego uznania, — uważałam, że nietylko mego.

Jaka ta Wanda dziecinna i dziecinnie serdeczna! Uroda Janusza zrobiła na niej wielkie wrażenie, i to nie dziwi mnie wcale; ale czyż to już konieczne, aby na widok łez pięknego panicza nie umieć ukryć swego wzruszenia?

Więc ona tak żywo współczuć umiała! Ja badam, studuję, — a ona płacze. Widziałam, że umyślnie odeszła do okna, aby obetrzeć dwie wielkie lzy, które spłynęły z jej pięknych oczu.

Obawiam się o to śliczne dziewczę. Bądź co bądź, nasz świat nie będzie jej światem w przyszłości; po co ma w nim zostawiać serce?! A czuję, że niebezpieczeństwo silne zagraża jej tym razem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WSPÓLUDZIALE KOBIET

MĘDZYNARODOWYCH KONGRESSACH WIĘZIENNYCH.

przez

Alexandra Moldenhawera.

(Dokończenie).

Chociaż już z przytoczonych powyżej kilku uwag, z treści referatów a także i z rozpraw w sekcji i na ogólnym zebraniu, baczny czytelnik mógł powziąć pewne wyobrażenie o głównych zasadach nowej szkoły antropologo-kryminalnej, dla uzupełnienia jednak tego pojęcia, podaję tutaj charakterystykę nowej tej teorii naukowej, według jednego z jej wielkich zwolenników: (Drilla). 1-o. Szkoła antropologiczna prawa karnego wyrzekła się zasady odwetu z jego najrozmaitszymi modyfikacjami, stanowiącego dotąd podstawę i najgłówniejszy, najpierwszy cel w karze. Za podstawę zaś i cel kary uznaje wyłącznie potrzebę ochrony społeczeństwa od złego, jakie wyrządza mu przestępstwo, już-to za pomocą poprawy przestępcy, już też przez usunięcie go z grona społeczności. Ten pogląd zmienia z natury rzeczy i nieodzownie charakter kary i nadaje jej racjonalniejsze znaczenie. O wyrządzaniu cierpienia dla cierpienia i dla zadośćuczynienia uczuciu pomsty, przy takiej teorii nie może być już mowy. 2-o. Szkoła antropologiczna bada nietylko przestępstwo; owszem, bada ona przedewszystkiem samego przestępcę, a następnie śledzi jego działalność, jego występki, sam czyn zbrodniczy, a także i najbardziej racjonalne środki oddziaływania nań, wszystko to zaś dla obronienia społeczeństwa od złych skutków występnej działal-

ności. Przytem rozpatruje ta szkoła i bada, nie jakiegoś oderwanego, zawsze jednakiego przestępcę (typ), ale najrozmaitsze osobniki rzeczywistych różnorodnych przestępców, takich, jakimi ona ich życie, sąd i więzienie. Oprócz tego, bada ona tych istotnych przestępców, nie filozoficznie, abstrakcyjnie, ale przy pomocy wszelkich możliwych naukowych metod, za pośrednictwem jakich bada się i wszelkie inne przyrodzone zjawiska. 3-o. W przestępstwie szkoła antropologiczna widzi z jednej strony rezultat wpływów wzajemnych psychofizycznej organizacji, czyli natury przestępcy, która, jak i u wszystkich innych normalnych ludzi, stanowi podstawę jego charakteru, z drugiej wynik zewnętrznych wpływów otaczającego przestępcę naturalnego i społecznego ośrodka, czyli sfery, w której żyje. 4-o. Wycho- dząc z danych rzeczywistych, z obserwacji, szkoła antropologiczna paczy na przestępcę jako na mniej więcej nieszczęśliwy, zbiedniały, niedostatecznie do życia zaprawiony, wadliwy organizm, który, w następstwie tych ujemnych swoich stron, nie może przy pewnych nieprzyjaznych warunkach walczyć o swoje istnienie, o byt swój w istniejących formach legalnych. Zauważyć tu potrzeba, iż owa niemożność, owo nieprzygotowanie się, niedostateczność i niezgodność, nie są bezwarunkowe, absolutne, ale raczej względne i zależą od przeróżnych życiowych stosunków, od rozmaitego położenia jednostki w życiu. 5-o. Szkoła antropologiczna przyczyny przestępstw dzieli na: a) najbliższe, czyli bezpośrednie, tkwiące w wadliwości psychofizycznej organizacji sprawcy występku; b) na dalsze, kryjące się w nieprzyjaznych, zewnętrznych okolicznościach, pod których wpływem kształtują się wytwarzają specjalności organizacji, jako mniej więcej silne wyniki przestępstwa; c) na przyczyny skłaniające, przysposabiające, pod których wpływem już sformowane, źle unormowane i nierównomierne organizmy ulegają woli przestępczej. 6-o. Przy takim obszer- szernem i rzeczywiście naukowym sformułowaniu kwestyi szkoła antropologiczna dąży do badania rzeczywistych przestępców i spełnionych przez nich czynów, jako naturalnych, przyrodzonych, społecznych przejawów, w całej łączności ich różnorodnych pierwiastków, czynników i pobudek, tak w ich genezie, to jest w ich odległych, nawet dziedzicznie przechodzących zarodkach, jak i w dalszym ich następnym, konsekwentnym rozwoju i rozroście. Tym sposobem łączy ona i zlewa badania nad przejawami ludzkiej występności z ogólnymi socjalnymi i rozpatruje pierwsze jako nieodzowny rezultat wzajem działających na siebie socjalnych i indywidualnych czynników, a ztąd i kładzie nacisk na niezbędność radykalnych środków, uprzedzających i dopomagających do skutecznej walki z przestępstwem. 7-o. Wycho- dząc ze wszystkich dopiero co wyliczonych przesłańek, szkoła antropologiczna, w logicznej konsekwencji, nie dopuszcza zasadności i racjonalności wszelkich naprzód ilościowo i jakościowo określonych środków repressyi. Przeciwnie, twierdzi ona, że środki te powinny być określone w zależności od indywidualnych właściwości każdego oddzielnego wypadku, po troskliwym jego zbadaniu. Środki repressyi, w stosunku do każdego danego osądzonego przestępcy, powinny trwać, ciągnąć się, lub przeciwnie kończyć i przerywać w zupełnej zależności od znamion indywidualnych i w miarę potrzeby, to jest trwać mogą dopóty tylko, dopóki nieodzownymi się okazują.

Szkoła antropologiczno-karna położyła już niewątpliwie istotne zasługi dla tej części prawa karnego, która dąży do słusznego a sprawiedliwego unormowania samego wymiaru kary (repressyi). Wczytując się w dzieła koryfeuszów tej szkoły, w pierwszej chwili doznajemy jakiegoś dziwnego wrażenia, niby zawrotu głowy, niby zniechęcenia. Czasem buntuje się w nas uczucie, uczuwamy pod stopami brak do tychczasowych posad; sztuczny gmach owych kodexów z całą ich architektoniką misternych przepisów, zdaje się chwiać; my sami, pod wpływem tych nowych wrażeń, mamy ochotę go rozsądzić i zniszczyć. Przestępcy, na których przy- wykliśmy patrzeć jak na pierwiastek zgubny,

wrogi porządkowi społecznemu, jak na złych i upadłych moralnie, szkodliwych własnowolnie, których przesładować i karać należy, — stają naraz przed nami oczyszczeni. Wobec dowodzeń i badań nowej szkoły są to tylko nieszczęśliwi, będący chorymi na mózg lub inne organa ciała, — naturami wykolejonemi i nadwreżonemi, które rzucają się przeciwko tym tamom (kodexom), jakimi od nich odgradzają się pozostali, bynajmniej nie lepsi moralnie, ale jedynie szczęśliwsi! Jest to jednak tylko pierwsze przelotne i zwo- dnicze, a w gruncie fałszywe i nieuzasadnione wrażenie. Rozpatrzywszy się bliżej, wnikańszy głębiej w te mozolne, liczne, troskliwe i sumienne badania, w te z mrówczą cierpliwością zbierane przykłady i fakta, może czasami zbyt jednostronnie przedstawione, odzyskawszy równowagę myśli i trzeźwość poglądów, odrzuciwszy zbyt skrajne wywody, znajdujemy w pozostałych nader cen- ny materiał i otwiera się umysłem naszym olbrzymie i bezgraniczne niemal do zastanowienia pole. Punkt wyjścia nowej szkoły jest najzupełniej uzasadnionym, studia jej zwolenników i wyznawców nad przestępcami stwierdzają fakt niewą- pliw: tak jest, przestępstwo stanowi objaw nie- aormalny, przestępca jest poniekąd organizmem chorobliwym, ale choroby tej nabawił się on wła- snowolnie, lub z winy najbliższego swego otocze- nia, z winy tych, którzy odpowiedzialni są za nie- go wobec własnego sumienia i społeczeństwa, a co najważniejsza, z choroby tej wyleczyć się on może. W ostatecznym też rezultacie, wychowa- nie, pojęte jak najszerzej, jak najogólniej, albo ocala, albo gubi jednostki, usposobione do przestępstwa.

Sklonności wrodzone, lub nabyte nawyknięcia, nerwowość, pewne chorobliwe stany, hysterya, alkoholizm, zbiednienie fizyczne, — wszystko to naprawić się daje; nawet dziedziczność osłabić i wpływy jej zmniejszyć można, — czyli, jednym słowem: skutecznie oddziaływać i walczyć z tem wszystkim, co podług opinii nowej szkoły jest powodem i źródłem przestępności; tylko nie dzieje się to dorywczo, odrazu, gwałtownie, ale raczej musi być przeprowadzone nader powolnie i systematycznie. Jak bowiem choroba nie wy- bucha odrazu, tak samo i naleczenie jej po- trzeba nieraz długiego czasu, usiłowań i zabie- gów całych pokoleń danego społeczeństwa. Co przecieź najważniejsza, znika owo fatum groźne, nieuniknione, owa *predestynacja* do przestępstwa, o którą, może zresztą i zasadnie, z kilku skraj- nych zdań nowej szkoły, z orzeczeń zbyt daleko idących niektórych z jej przedstawicieli, posą- dzono ją całą! Wolna wola, ów kamień węgiel- ny poczytalności i odpowiedzialności karnej, niby zaprzeczona przez nowe teorie szkoły antropo- logo-karnej, lubo w bardziej ograniczonym u niej stopniu, odzyskuje jednak swoje władzę i zna- czenie i, wyrugowana przez zbyt krańcowych za- paleńców, powraca do właściwszego i racjonal- niejszego tylko stanowiska i znaczenia. — Tak więc w ostatecznym rezultacie w szkole antro- pologo-karnej, ja przynajmniej, odnajduję uzna- nie wpływów jednej z wielkich potęg społecz- nych, jednej z dźwigni ludzkości, to jest, jak wspomniałem powyżej, racjonalnego wychowania, obejmującego zarówno fizyczność, jak i ducho- wność jednostki.

W istocie, jednoczesny, umiejętny i baczny roz- zwój ciała przez odpowiednie wzmocnienie sił fizycznych, zdrowia, i kształcenie charakteru, umysłu i serca, i kształcenie wprawdy w orga- nizmie równowagę, ale nada im siłę oporną prze- ciwko pokusom złym i występny, zmieni je doszczętnie; że zaś w wychowaniu pierwszorzę- dą rolę, najważniejszą, najbardziej wpływową, gra kobieta, jako matka, jako opiekunka młode- go pokolenia, że u jej piersi i na jej kolanach wychowują się przedewszystkiem przyszli oby- watele kraju, że ona-to wpływa przepotężnie na dalsze ukształtowanie zarówno ciała, jak ducha iserca swoich dzieci, — radbym więc, żeby panie nasze zastanowiły się, rozumie się posiadając już ustalony i pewniejszy sąd, zdrowy i nieuprzedzo- ny umysł, nad tem, co nowa wypowiada szkoła, i żeby w niej odszukać chciały, co ja tam zna- lażłem.

Kobieta wyższego umysłu i serca, jaką jest p. Arenal, stanawszy w szeregach wyznawców nowych zasad, przeczuła, czy odgadła, czy może nawet dojrzała, błyski prawdy z jednej strony, a rolę i zadanie swoje w podniesieniu i krzewieniu tych prawd utalentowanem swoim piórem z drugiej; przykład zaś ten, jako też innych, jej podobnych, kobiet, wskazuje najdowodniej, że mogą one stanąć jako godne współzawodniczki mężczyzn na polach, na których trzeba tym lub owym sposobem nieść pomoc cierpiącej ludzkości, nędzom jej, czy-to fizycznym, czy moralnym, że mogą być one temsamem współpracowniczkami, nie tylko w kongressach penitencyarnych, ale i w wielkim dziele wytwarzania pojęć prawnych. Tutaj wszakże czeka je praca, nie tylko teoretyczna, ale i praktyczna, od nich bowiem zależy to wychowanie zdrowych pokoleń, uleczenie cierpiących, o jakich powyżej była mowa, jeżeli tylko zrozumieć zechcą i przejąć się wysokim swem powołaniem i spełnić je wedle tych wskazówek, jakie znajdują w studiach nowej szkoły antropologicznej. Praca ich cicha, pełna poświęcenia, należycie zrozumiana i odpowiednio pełniona, stanie się uzupełnieniem nowych teorii odrodzenia ludzkości, i nanowo kobiety stwierdzą dawno już tu i owdzie przejawiającą się prawdę, w różnej formie wypowiedzianą przeświadczenie, że w ich-to rękach znajduje się, jeżeli nie główny klucz, to przynajmniej jeden z takich, które otwierają i rozwiązują najgłębsze zagadki społeczne. Niech tylko każda z kobiet przejmie się myślą, iż od niej zależy, że w jej mocy jest wychować i dać przyszłości, następnym pokoleniom, zdrowego, tak fizycznie, jak moralnie pożytecznego i cnotliwego obywatela, lub, przeciwnie, wątłego cherłka, chorobliwego kalekę, ciężar i zakałę społeczności, jeżeli nie gotowego zbrodniarza, to podatnego do występku subiekta, a warunki społeczne niewątpliwie zmieniają się na lepsze, kwestya niepoprawnych przestępców zniknie sama przez się i na przyszłych kongressach ustąpi z ich programatów, załatwi się nie jałową dyskusją i mniej więcej uzasadnionymi, czy zręcznymi rozprawami, ale czynnem, bo szlachetnem i podniosłem, działaniem kobiety.

## Z bieżącej chwili.

— Zarząd miasta Petersburga zażądał od Rady Miejskiej zezwolenia na udzielenie 2.000 rs. Towarzystwu Przytułków Noclegowych, oraz 3.000 rs. dla Towarzystwu urządzania tanich mieszkań.

— Z Archangelska nadesłano do Petersburga pewną ilość skór rybich do oceny, czy nie mogą być użytkowane w przemysle?

— Korrespondencye z Moskwy donoszą o przedsięwzięciu budowania uralskiej drogi żelaznej. Wejść tu mają do wspólki i kapitały angielskie.

— Budowa kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie nie jest ostatecznie wykończoną. Na zewnątrz brakuje tej świątyni wież, wewnątrz chrzcielnicy, która przecież stanie tam wkrótce. Do ołtarza Ś-tej Jadwigi p. Buchbinder maluje obraz, będący już na ukończeniu. Zbieranie składek w obrębie parafii jest dozwolone po dzień 18 Września 1892 r. do wysokości 40.000 rs.

Dotąd zebrano tylko 5.000 rs. brakuje zatem 35.000 rs.

— Sąd konkursu malarskiego imienia Gersona z nagrodą 600 rs. przyznał ją z pomiędzy ośmiu dzieł nadesłanych obrazowi Alchimowicza „Milda“, wyobrażającemu litewską boginię miłości: dziewięć nagą w oświetleniu błyskawicy piorunowej, stojącą nad trupem zabitego przez grom młodzieńca. Postać bogini niezmiernie wdzięczna, tło krajobrazowe przesłizne. Rozstrzygnięcie drugiego, architektonicznego konkursu, odłożono do d. 24 b. m. z powodu znacznej liczby prac nadesłanych. Sąd konkursowy odznaczył protokularnie obrazy: „Zwiastowanie Najświętszej Panny“, Piątkowskiego i Ciaglińskiego, „Przy fontannie leż w Bakczyseraju“, (z sonetów krymskich Mickiewicza) jako zalecające się uczuciem poetycznym.

— Komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych powziął zamiar dodatkowego ogrzewania sal wystawy przez pewną liczbę piecyków gazowych, urządzonych według najnowszych ulepszeń, z zupełnem bezpieczeństwem od ognia. Będą przytem zaprowadzone kanapki i krzesła wygodne dla osób, zwiedzających wystawę, a światło elektryczne oświetlające salony niewątpliwie przysporzy wystawie w czasie zimy większą liczbę zwiedzających.

— Jan Tatarzkiewicz, reżyser komedyi i dramatu Teatrów Warszawskich, obchodził dnia 13 b. m. dwudziestopięcioletnie pracy swojej na scenie tutejszej. Wstąpił on do składu teatru dwudziestodwuletnim młodzieńcem i jako stały pracownik wystąpił raz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości w komedyi „Fortepian Berty“. Po kilkunastu latach służby Melpomenie otrzymał, po usunięciu się Wład. Świeszewskiego, urząd reżysera, spełniany po dziś dzień. W dzień jubileuszowy artysta wystąpił w komedyi Bałuckiego: „Klub kawalerów“.

— Na konkurs posągów dla Królikowskiego i Żółkowskiego, mających stanąć w gmachu teatru i na pomnik Żółkowskiego na cmentarzu nadesłano w modelach gipsowych, oraz rysunkowych, projektów siedm. Okazy zostały aż do ogłoszenia rezultatów konkursu zamknięte w kancelaryi dyrekcji.

— Sekretarz krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych, hr. Zygmunt Cieszkowski, powziął zamiar urządzenia wystawy zabytków i dzieł sztuki wyłącznie z XVIII wieku. Myśl ta uzyskała poparcie ogólne i zapewne urzeczywistnioną zostanie.

— Zakład fotograficzny Juliusza Miena, tłumacza poezji Słowackiego na język francuzki, wykonał według fotogramów amerykańskich portrety Modrzejowskiej wewszystkich jej główniejszych rolach tragicznych.

— Zawiązała się w Krakowie „Spółka wydawnicza“ z kapitałem 100.000 zł. reń. mająca na celu wydawanie dzienników, broszur, czasopism, dzieł treści belletrystycznej, ściśle naukowej, lub popularnej. Pierwszem wydawnictwem spółki jest tygodnik, przystępny dla czytelników szerszego koła. Komitet redakcyjny tworzą: Pópiel Paweł, Morawski, Kaz. Bobrzyński, Chotkowski, Dydyński, Dybicki, Kleczyński, Tomkowicz, St. Tarnowski, Straszewski. Komitet zarządu składają: Gorayski, Wodzicki, Scypio, Jędrzejewicz, Ant. Potocki.

— Matejko cofnął ostatecznie wniesioną przed kilku tygodniami rezygnacyą z godności dyrektora krakowskiej szkoły sztuk. Dzienniki ogłosiły pismo, w którem sfery urzędowe składają mu podziękowanie za ten czyn dobrej woli dla społeczeństwa.

— D-r Brückner, prof. Uniwersytetu Berlińskiego, badacz języków i literatur słowiańskich, odbywając podróż naukową z celem badań nad starożytną literaturą naszą i poszukiwań jej zabytków, złożył obecnie Akademii Berlińskiej sprawozdanie z owoców wycieczki swojej, której plon jest obfity. Przepatrując rękopisma starożytne w Cesarskiej Bibliotece w Petersburgu, oraz w księgozbiorach publicznych i prywatnych w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Gdańsku i Królewcu, poczynił on odkrycia licznych zabytków dawnego piśmiennictwa naszego. W okresie czasu między 1350 r. a 1500 r. odnalazł po między innymi najstarszy zeznany po psalmie z r. 1290 zabytek piśmiennictwa naszego: sześć kazań na różne dni uroczyste. Z wieku XVI odkrył pierwotną redakcyą dwóch ksiąg Elegii Jana Kochanowskiego, zawierającą kilka nieznanych utworów, ciekawych ze względu na pojęcia wyznaniowe poety. Dalej zbiór poezyi Sępa Szarzyńskiego, podwójny w stosunku do znanych, i obok tego wiele listów, pamiętników, dyalogów, traktatów historycznych, korespondencyą Jana Łaskiego z Erazmem z Rotterdamu i Melanchtonem (1526 — 1536 roku). Z epoki od 1600 do 1750 roku odnalazł między innymi wiele nieznanych poezyi Wacława Potockiego, zawierających razem około 200 tysięcy wierszy. Między temi naukowymi zdobyczami Brücknera jest niemało cennych przyczynków i do innych literatur słowiańskich.

— Kardynał Lavigerie napisał dla Sienkiewicza udającego się do Zanzibaru, list polecający do wszystkich misjonarzy afrykańskich. Donosi o tem pismo przeciw niewolnicze: „Echo aus Afrika“, którego wydawcą jest pod pseudonymem Alexandra Halka, jedna z pań naszych, urodzona z matki Niemki i zamieszkująca w Salzburgu. List ten, pod datą 29 Listopada 1890 r. pisany w Biskra, poleca bardzo gorąco Sienkiewicza misjonarzom algijskim, zowiąc go „jednym z najznakomitszych pisarzy współczesnych“.

— Umarł w Galicyi, we Lwowie, jeden z wyżej wykształconych i bardzo szanowanych literatów, niegdyś korespondent naszego pisma Wł. Zawadzki. Urodzony w 1828 r. w Hajworozie w Galicyi, ukończywszy nauki, a między tem Akademią Rolniczą w Altenburgu, zajął się gospodarstwem wiejskiem, pragnąc uczynić je postępowem. Ale trudności, z jakimi się tu spotykał i zamiłowanie do pióra skłoniły go, że zajął się przeważnie literaturą. Napisał w 1845 roku powieść „Dwa Światy“ drukowaną w Poznaniu, przełożył pięknym wierszem z niemieckiego poemat poety Grüna: „Strażnica nadbrzeżna“, aż nakoniec, porzuciwszy wieś, zamieszkał we Lwowie i został współpracownikiem „Dziennika Literackiego“. Do wyższych i zasługę poważną jednających mu prac literackich należy jego przekład „Historii Cywilizacji“ Buckle'a. Był też dyrektorem lwowskiej szkoły dramatycznej, założonej w 1869 r., która przecież wkrótce istnieje przestała. Główną jego pracą oryginalną jest opis *Huculów* w „Kłosach“. Zostawił po sobie pamięć uczciwego człowieka.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 10 y powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Carmen Sylva. — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Karol Estreicher (dalszy ciąg). — Ze znalezionych kartek (dalszy ciąg). — O współdziałale kobiet w międzynarodowych kongressach więziennych, przez Alexandra Moldenhawera (dokończenie). — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 10-y powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**



# PRZEGLĄD MÓD.

Materyały na suknie balowe u p. Makowskiego, tiule, gazy, kapy chińskie, wszystko jedwabiem, złotem, srebrem i kamieniami wyszywane. — Toalety lekkie czarne. — Suknia w krople rosy u pani Grąbzewskiej. — Świeże kwiaty w zakładzie Rudowskich, Nowy-Świat 59.

Zdaje się że im większa bieda u nas tem większe zbytki, a przynajmniej kuszą nas do nich panowie fabrykanci francuzcy, przysyłając cuda swoich wyrobów. Wszystko cobym powiedzieć mogła o ślicznych balowych materyałach, które oglądałam u p. Makowskiego nie oddało by ich rzeczywistej piękności i bogactwa; radzę paniom, nie mając nawet zamiaru kupić, iść zobaczyć; uprzejmi panowie (bo dziś już nieuprzejmych nie ma i pod tym względem przemysł nasz zrównał się z paryżkim) pokażą wszystkie te cuda. Najzwyklejsze a jednak bardzo efektowne i ładne są tiule groszkowe we wszystkich kolorach z narzucanami pluszowymi pastylkami wielkości srebrnej dwudziestogroszówki w różnych odmianach, z których na złotem tle pastylki „obergine“ (śliwkowy) dziś przeważają „pervanche“, bo go zrobiono więcej niebieskawym — ach te kolory! to labirynt bez wyjścia! na zapytania czynione mi, jakie są modne kolory, odpowiadam: „wszystkie“ wyjąwszy dawniej znanych tęczy. Druga odmiana na czarnym złotem lub granatowym i w całym cieniu niebieskim przerabiane jedwabiem; dalej na blade-różowym różowe ciemniejsze — wszystkie śliczne. Tiule takie muszą być koniecznie na spodzie jedwabnym tj. fularowym, bo są za nadto klarowne; dalej gazy we wszystkich kolorach, do których falbana lub przód i stanika przybranie haftowane perlami tegoż koloru, lub ażurowe szlaki przerabiane tegoż koloru sznelą, te suknie chociaż klarowne można dawać na spodzie z francuzkiej satynki, bo ona zawsze robi efekt jedwabiu pod gazą. Śliczne a nawet mniej drogie były woaliny we wszystkich kolorach z haftowanymi wolantami lub przodem atłaskiem i naszywane kamieniami na blade lila haft lila z ametystami, na niebieskim szafiry z haftem, na zielonym szmaragdy występowały z pomiędzy zielonych gałęzi, sukni a 35 rs. Inny znowu rodzaj woaliny miał haftowany szlak w drobny rzucik różnokolorowych kwiatów, tych ostatnich sukni wypadła rs. 25, należy zwrócić

uwagę, że już żadnego innego przybrania nie potrzeba i że robi się na zwyczajnej satince, koroną jednak całego tego wielkiego wyboru są suknie z „crêpe-chine“ ów najwspanialszy i najmiejszy z lekkich wyrobów był podniesiony do szczytu piękności haftem ręcznym atłaskowym ślicznych deseni i kolorów. Muszę tu dodać, że wszystkie hafty na sukniach są ręczne, bo inne być nie mogą, maszyna może tylko dziergać powierzchnie a nigdy haftować atłaskiem jak to wiele osób sądzi. Otóż na tej pysznej tkaninie białej są szlaki z kwiatów alpejskich białych ze złotem, lub czysto białe ze srebrem na tle „ciemnym“ cielistym lub kwiaty „pervanche“ ze złotem; na lila czy też jasnym heliotrop, bo zwykle kolory nie istnieją już, kwiaty koloru lipy ze złotem kłosami a jaki układ wzorów, na białym różowe bukiety ze złotem lub na czarnej złote kłosa wspaniała suknia; odmian tysiące, ale i pieniądze duże, łokieć tego zbytku kosztuje od 3—5 rs. Do tego na całą suknię używa się gładką „crêpe-chine“. Jeszcze jedną odmianę stanowi „crêpe-légers“ w kwiaty zwane „pompadour“ np. na cielistym kolorze bukiety bzu haftem rzucane; na czarnym gałęzie róż i t. p.

Między toaletami balowymi a tak różnorodnymi jak może nigdy, suknie z czarnego tiulu, jedwabnej czarnej gazy lub koronek zdobnych złotem, zawsze na czarnej jedwabnej podszywce są bardzo wzięte. Suknie te jednak musi zdobić haft złoty, srebrny, stalowy lub kolorowe jedwabie bądź to w deseń rzucany, bądź z odpasowanymi szlakami. W magazynie „au printemps“ spotkaliśmy suknię balową z lekkiej tkaniny, haftowanej białymi kryształowymi perlami, naśladowanymi krople rosy, co przy blasku światła bardzo efektownie wygląda, przybrana białym atłaskowym gorsecikiem. Gładki tiul tak nazwany „Tosca“ obszywają lub przewlekają wązkimi atłasowymi wstążeczkami, szeroka zaś szarfa dopełnia skromnej choć ładnej całości. Szerokie szarfy „crêpe de Chine“ gładkie lub haftowane wielkiej także używają wziętości.

Gdyby nam kto przed kilkoma laty wspomniał o sukni balowej sukiennej, ruszylibyśmy z niedowierzaniem ramionami, dziś jednak suknia balowa sukienka stoi na pierwszym szczeblu wykwintnej elegancji. W tym celu naturalnie, odpowiednie są tylko kolory jasne a przede wszystkim biały. Zdobia je haftem złotym lub srebrnym i piórami strusiemi. Wszelkie dodatki koronek byłyby tu niewłaściwe. Ciemne kolory sukni, nosi się na kostiumy spacerowe i na sport łyżwiarski, wówczas zdobią je aksamitem, rozmaitego rodzaju futrem lub barankami krymskimi czy też ich imitacją astrachanem. Rękawy nie tylko przy zakietach ale nawet przy sukniach jedwabnych robione są z baranków, nurków lub innych mniej puszystych futer, stanowiąc jednak ta chwilkowa ekscentryczność jest brzydszą i nie zasługuje na uwagę.

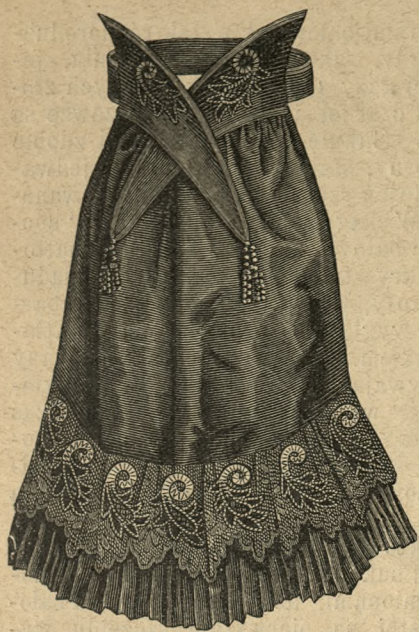
Najulubieńszymi obecnie kolorami jest „clair eau“ czyli niebiesko-popielaty z lekkim odcieniem zielonym, przypominający nieco kolor glazury, włoskiego fajansu; drugim kolorem nie mniej lubionym jest „Salomé“ przypominający bezbarwny kolor czerwonej wziętej lewkonii. W tych odcieniach już wyrabiają mnóstwo tkanin jak: bengalina, armure, sicilienne a nawet aksamit, które z wiosną u nas się okażą.

Każdą balową toaletę dopełnia dziś świeży bukiet płasko ułożony, wpięty nisko przy pasku stanika, w ręku mniej jest modny, bo przy niezbędnym wachlarzu często zawadza. Polecamy więc co do kwiatów zakład ogrodnicy siostr Rudowskich, Nowy-Świat 59, gdzie po bardzo przystępnych



Nr 1. Suknia wieczorowa z bengaliny (do ryc. Nr 14).  
Krój odwr. str. tablicy.

Nr 2. Suknia wieczorowa z materyału jedwabnego broché (do ryciny Nr 13). Krój pierw. str. tabl. Nr 1,  
fig. 1—15.



Nr 5. Fartuszek z jedwabnego repsu. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 32).



Nr 3. Czepeczek z koronki i wstążki.



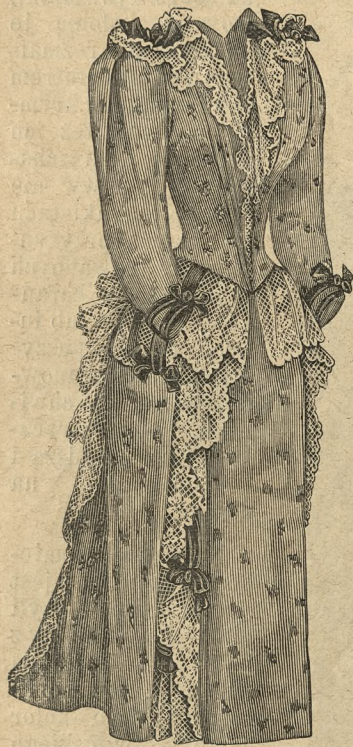
Nr 4. Czepeczek z jedwabnej gazy haftowanej i wstążki.



Nr 6. Fartuszek z atłasu „merveilleux“.



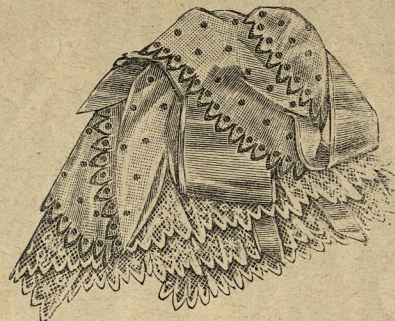
Nr 7—10. Szaliki i chusteczki.



Nr 13. Suknia z materiału „broché“ (do ryc. Nr 2).



Nr 11. Czepeczek z koronki i wstążki.



Nr 12. Czepeczek z krepy i koronki.



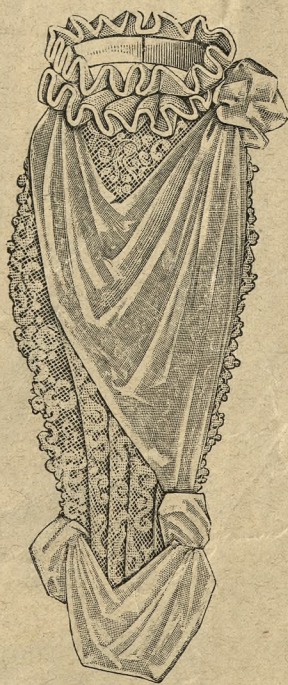
Nr 14. Suknia wieczorowa z bengaliny (do ryc. Nr 1). Krój odwr. str. tabl.

cenach są bukiety i bukietki gustownie i modnie ułożone.  
L. C.

### Suknia z bengaliny.

Rycina Nr 1 i 14.

Suknia z bengaliny koloru „aubergine“ i tegoż koloru jedwabnego w deseń. Skrajać fig. I jedną część złożoną wzdłuż środka, wykonać rozporek w lewej połowie, umocować po bokach † oznaczone *a b* na kropce *a b*. Powyżej 3 † oznaczonego *a* sfaldować od 1 do 2. Zeszyć część od 1 do 2 i od 3 do 4 i przymocować do spódnicy z podszewki. Jak wskazuje ryc. tylna fałda przypina się na baskinie. Stanik z długim bawetem wykonany z materiału w deseń, przyozdobiony podług ryc. krepą różową i galonem złotym 3 c. szer. haftowanym imitacją drogich kamieni. Kołnier „Médicis“ z krepy takizże galonem ozdobiony.



Nr 15. Napierśnik z koronki i jedwabnego mulu.



Nr 16. Napierśnik z kołnierem z złotego brokatu i jedwabnego mulu.

### Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 3.

Podstawka z petynetki białej 26 cen. długości nieco w ząb z przodu a po bokach 1 c. szer. Do przybrania służy koronka 12 c. szer. i wstążka repsowa jedwabna 6 c. szer. koloru lila.

### Czepeczek z gazy haftowanej i wstążki.

Rycina Nr 4.

Podstawka z petynetki 35 centim. długości z przodu 8 centim. szer. a po bokach 1 centim. szer. Falbanka z białej gazy jedwabnej 7 c. szer. ozdobiona haftem i ząbkami dzierganymi kolorowo, oraz wstążka jedwabna repsowa 2½ cent. szer. koloru łososiowego zdobi czepeczek podług ryc.

### Fartuszek z jedwabnego repsu.

Rycina Nr 5. (Kr. pierw. str. tabl. Nr V, fig. 32).

Skrajac z jedwabnego repsu koloru czarnego, czesć 53 c. szer. a 58 c. dlug. Dolne rogi zaokrąglie i otoczye falbanką plisowaną 13 cent. szer. Przybrae podlug ryc. czarną koronką 17 c. szer. haftowaną jedwabiem i czarnymi perełkami. Górna czesć zmarszczona w faldeki i wszyta w pasek wykonany z repsu, podkladu i podszewki podlug fig. 32.

### Fartuszek z atlasu „merveilleux“.

Rycina Nr 6.

Czesć 53 c. szer. a 57 c. dlug. z atlasu „merveilleux“ koloru czarnego, rogi dolne troche zaokrąglie i brzeg dolny otoczye falbanką 14 c. szer. Powyzej falbanki koronka czarna w zęby ulozona podlug ryc. Górny brzeg fartuszka wszyty w karczek ulozony z zakladek. Srodkowa wysokość karczka 15 c., boczna zaś 9 cent. Kieszonka podlug ryc. i kokardy z wstążki czarnej repsowej wykończają calosć podlug ryc.

### Szaliki i chusteczki.

Rycina Nr 7—10.

Szaliki i chusteczki sluzące bądż to do nakrycia głowy, bądż do przybrania stanika. Szalik Nr 7 wykonany z krey koloru zoltego 180 c. dl. a 30 c. szer. otoczony wzdluz czarną koronką 16 c. a w poprzek taką koronką 29 cen. szer. Nr 8, kwadratowa chusteczka z krey chińskiej koloru jasno lila, otoczona tegoz koloru jedwabną koronką 15 c. szer. Szalik Nr 9 112 c. dlug. a 42 c. szer. z cienkiej jedwabnej tkaniny koloru rozowego, brzegi poprzeczne ozdobione haftem wy-

konany różnokolorowym jedwabiem i frendzlą jedwabną różową 5 c. szer., Nr 10 szalik 240 c. dlug. a 44 c. szer. z tiulu koloru jasno lila w rzucone kole. Szlak 5 c. szer. ulozony z wiekszych kol.

### Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 11.

Foremka z petynetki 23 c. dlug., z przodu 6 c. szer., po bokach zwężona, objeta drucikiem i wstążeczką. Głowka z tiulu koronkowego. Koronka 12 c. szer i wstążka gazowa w pasy ulozona podlug ryc.

### Czepeczek z krey i koronki.

Rycina Nr 12.

Karczek z petynetki 29 cent. dlug., z przodu sciety szpiczasto na 8 cent. szer., zaokrąglony ku koncowi, objety drucikiem i wstążeczką. Biala koronka 11 cent. szer. ukladana w glębokie faldy, czesć krey różowej w punkciki czarne, dziergana czarnym jedwabiem i wstążka jedwabna różowa 1½ cent. szer. oraz tegoz koloru wstążka 6 cent. szer. wykończają calosć podlug ryciny.

### Napiersnik z koronki i mulu jedwabne go.

Rycina Nr 15.

Jako podstawe napiersnika stanowią dwa konce koronki 12 cent. szer. a 48 cent. dlugosci ulozone w zakladki w sposob, azeby na brzegi zewnetrzne wypadly zęby. Wyciecie szyi zaokrąglie a dolne czesć scię troche szpiczasto. Wszye górny brzeg w wstążkę bialą repsową 3 c. szer. a 40 c. dlug., otoczye riuszą z mulu 8 cent. szer. ulozoną w kontrafaldy i ulozyc podlug ryc. czesć mulu 38 c. szer. a 60 c. dlugą.

### Napiersnik z kołnierzem z zoltego brokatu i jedwabnego mulu.

Rycina Nr 16.

Jako podstawa napiersnika sluzą dwa konce bialej jedwabnej wstążki 64 c. dl. a 6 cent. szer. zeszyte razem i scięte w dolnym i górnym brzegu stosownie do potrzeby i ryc. Otoczye zlotym galonem z brokatu 3 c. szer., następnie podlug ryc. udrapować czesć bialego mulu. Kołnierz „Médicis“ z brokatu zaopatrzony podkladem, jedwabną podszewką i drucikiem. Zapięcie z lewego boku.

### Suknia z aksamitu i atlasu „duchesse“.

Rycina Nr 17.

Suknia z atlasu „duchesse“ koloru „aubergine“ i aksamitu tegoz koloru w ciemniejszym odcieniu ozdobiona haftem maszynowym.

### Suknia spacerowa z sukna i aksamitu.

Rycina Nr 18.

Suknia z sukna koloru popielatego i z aksamitu tegoz koloru w ciemniejszym odcieniu, ozdobiona haftem maszynowym, wykonany jedwabiem popielatym.

### Ubranie dla chłopczyka od 6—8 lat.

Rycina Nr 19 i 28. (Krój odrw. str. tabl. Nr VII, fig. 49—56).

Ubranie zlozone z majtek i kurtki wy-

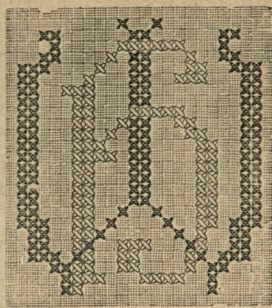
konane z sukna granatowego i ozdobione haftem maszynowym tegoz koloru jedwabiem. Fig. 56 podaje deseń szlaku szerokiego a ryc. Nr 28 szlaku wazkiego, zaznaczając jednoczesnie sposob wykonania scięciem lancuszkowym. Po dopełnieniu zlozenia fig. 50 skrajac majtki podlug fig. 49—51 po dwie czesć, zaopatrzyc majtki podszewką bialą, polaczye przednie i tylne czesć od 32 do 33, od 34 do 35 i od 36 do 37, następnie przednie czesć od 37 do 38 i tylne od 37 do 39. Do lewej przedniej czesć przyszye podlug wskazówek klapkę z dziurkami, do prawej listwę z guzikami i wszye kieszenie od 33 do 34. Rozporki w dolnych czesćciach zaopatrzyc guzikami i dziurkami i brzeg otoczye paskiem podwojnie zlozonym 1½ cent. szer. a 36 cent. dlug. spinanym na sprzączkę. Wykonac w górnej czesćci faldy trafiając kazdy † na kropkę, podszye niebieską satinką, wszye w pasek ze sprzączką i zaopatrzyc w odpowiednie guziki. Kurtkę skrajac z sukna podlug fig. 52 i 54 po jednej czesćci zlozonej wzdluz srodka a tą ostatnią z uwzględnieniem konturu prawego przedniego brzegu, Fig. 53 dwie czesćci. Fig. 55 z uwzględnieniem konturu spodniej czesćci rękawa. W prawej przedniej czesćci wykonac podlug wskazówek podluzne nacięcie, w lewej tylko górne a w obydwóch dolne, w które powszywać kieszenie. Ozdobie haftem podlug ryc., lewy przedni brzeg zaopatrzyc listwą z dziurkami a prawy guzikami. Przednie czesćci i plecy podszye satinką granatową, polaczye podlug cyfr. W pierwszych wykonac szew od 40 do 41 i wszye kołnierzyk ozdobiony haftem podlug cyfr. Rękawy zeszye od 51 do 52 przyozdobie haftem, podszye, polaczye od 49 do 50, ulozyc górne faldy mocując kazdy † na kropce



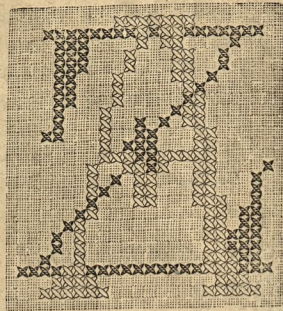
Nr 17. Suknia z aksamitu i atlasu „duchesse“.



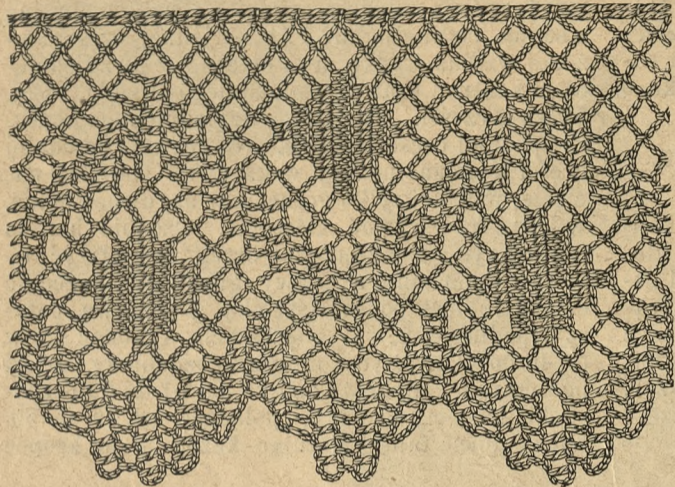
Nr 18. Suknia spacerowa z sukna i aksamitu.



Nr 21. Monogram.



Nr 22. Monogram.



Nr 23. Koronka wykonana szydełkiem (do fartuszka Nr 24 i 25).



Nr 19. Ubranie dla chłopczyka od 6—8 lat (do ryc. Nr 28). Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 49—56).



Nr 24 i 25. Fartuszek dla małej panienci (do ryc. Nr 23 i 26).

i wszyć w paszkę trafiając na 52 w 52 przednich części. W miejscach oznaczonych \* przyszyć klamry z materyału 1 cent. szer. a 7 cent. długie do przesunięcia paska 6 cent. szer. a 86 centim. długiego.

**Koronka „point-lace“**

Rycina Nr 20.

Przenieść deseń na płótno, podszyc ceratką i wzdłuż konturów przyszywać cienką tasiemeczką point-lace, którą stosownie do potrzeby należy naddawać przy zakrętach. Następnie łączyć ścięciem koronkowym, słupkami i pajęczkami wykonanymi białymi nićmi. Brzeg otoczyć wązkim galonikiem z pikotów.

**Fartuszek dla małej panienci.**

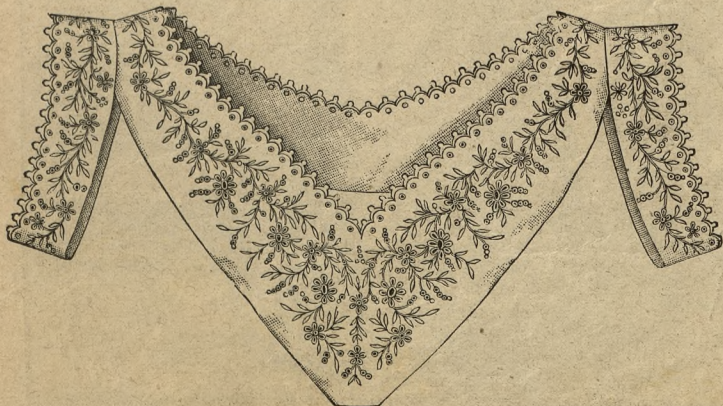
Rycina Nr 24 i 25.

Fartuszek z satinki koloru różowego i wstawek wykonanych szydełkiem i takież koronki. Deseń węższej i szerszej koronki ryc. Nr 23 i 26 jest tak wyraźny i łatwy do wykonania, że nie widzimy potrzeby szczegółowego opisu.

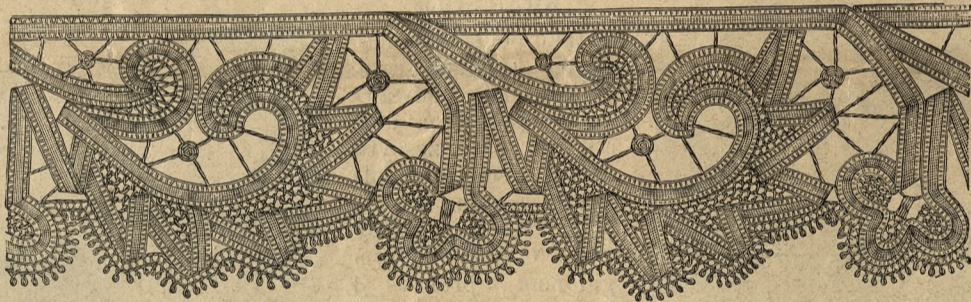
**Karczek do koszuli ozdobiony haftem.**

Rycina Nr 27.

Skrajać z cienkiego płótna lub szyrtingu fig. 29 i 30 po jednej części. Fig. 31 dwie części złożone wzdłuż środka, przenieść deseń, wykonać haft i zeszyć podług cyfr części.



Nr 27. Karczek do koszuli ozdobiony haftem. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 29—31).



Nr 20. Koronka (point lace).

**Przepisy gospodarskie.**

**Sterlet.**

Ponieważ u nas trudno bardzo o sterlety, bo są tylko sprowadzane z Wołgi, więc dotąd nie dałam na nie przepisu, gdy jednak zdarza się je mieć, więc postąpić z nimi następnie. Sterlet jest ryba nadzwyczaj delikatna na podobieństwo naszego węgorza, ale nie szkodliwa jak węgorz. Po oczyszczeniu posolić na godzinę, ugotować smak z włoszczyzny i całą rybę bez krajania (zwykle nie bywają wielkie) włożyć w gorący smak w płaskiej szerokiej pokrywie od rondla, układając ją okrągło, w 10 minut na dobrym ogniu jest gotowa. Wtedy ostrożnie wyjąć na półmisek, polać poprzedzonym smakiem, aby wilgoć miała, a oddzielnie podać rozpuszczone młode masło, lub też zrobić zwykły biały sos z młodego masła, mąki i smaku z ryby. Inaczej się sterlety nie podaje.

*I. C.*

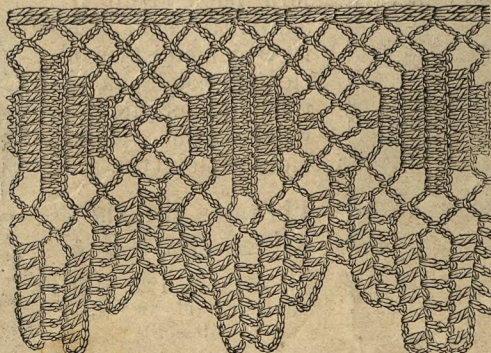
**KORESPONDENCYE.**

*Odp. p. Kot...*

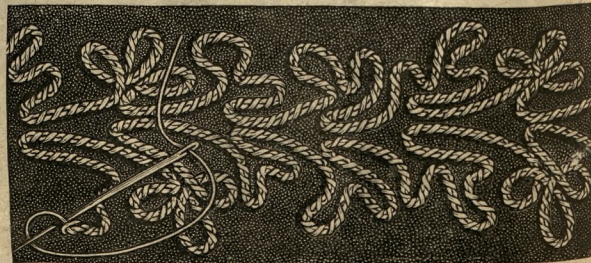
Dziękuję za uwagę, ale ja zawsze tylko z szarego maku robiłam i wybornie mi się udaje. Notabene w ostatniej, to jest 13 edycji przepisów.

**UWAGA.**

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze podane, dołączoną była do N-ru 3 Bluszczu.



Nr 26. Koronka wykonana szydełkiem (do fartuszka Nr 24 i 25).



Nr 28. Szlak do ryc. Nr 19. Ścieg wiązany łańcuszkowy.